



EDITH NESBIT

Przygody młodych Bastablów

EDITH NESBIT

Przygody młodych Bastablów¹

TŁUM. HALINA JEL

¹*Przygody młodych Bastablów* — w wydaniu angielskim książka opatrzona jest dedykacją: *To Arthur Watts (Oswald in Paris) from E. Nesbit* [Dla Artura Wattsa (Oswalda w Paryżu) od E. Nesbit].

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. ARCHIBALD NIEMIŁY²

Rodzina Bastablów³ znana była z ubóstwa, ale też i z uczciwości.⁴

Skromny nasz dom, mieszczący się przy ulicy Lewisham, wiele pozostawiał do życzenia. Toteż pragnąc rodzinie Bastablów przywrócić „dawną jej świetność i chwałę”, jak się mówi w książkach, zajęliśmy się poszukiwaniem skarbu.

Sześcioro, a raczej siedmioro — jeżeli do poszukiwaczy zaliczyć i ojca — zabrało się do tego dzieła. Mam nawet wrażenie, że tatuś najgorliwiej pracował w tym kierunku, ale biedaczek nie umiał brać się do rzeczy.

Myśmy czynili to ze znacznie większym powodzeniem. A po długich i mozolnych trudach znaleźliśmy prawdziwy skarb: wujka z Indii.

Od tej chwili wszystko się zmieniło w naszym życiu. Uczęszczamy do szkół i opuściliśmy naszą ruderę przy ulicy Lewisham.

Wprowadziliśmy się do pięknego domu, w którym jest jasno, ciepło i wesoło. Mamy śliczny ogród, dużo kwiatów, fontannę, cieplarnię, sad owocowy. Mieszkamy razem z wujem. Mamy pieniądze na drobne wydatki. Jednym słowem — świetnie się nam powodzi.

I oto nadeszły święta Bożego Narodzenia. Urządziliśmy wspaniałą choinkę dla biednych dzieci. Byliśmy na wielkiej zabawie z loterią fantową, na której wygraliśmy prawdziwą żywą kozę.

Pasmo powodzeń stało się dla nas bodźcem do nowego dzieła. Albowiem tacy są już potomkowie Bastablów, że nie potrafią siedzieć bezczynnie. Przeto Oswald, organizator wielu zabaw i wykonawca wielu pomysłów, postanowił wymyślić coś nowego.

Długo myślał i przemyślał, ale nie wymyślił nic prócz tego, że trzeba koniecznie coś wymyślić. Poszedł do Dory, która także nie miała pomysłów; Ala była zajęta nauką robienia na drutach, Dick się nudził, Noel pisał poezję, zaś H. O.⁵ działał wszystkim na nerwy skrzypiącymi butami. Jego buciki skrzypią głośniejsze, gdy się nudzi.

Oswald zdecydował, że trzeba zwołać ważną naradę. Jeżeli nawet nic wspólnie wymyślić nie zdołamy, to w każdym razie Ala przestanie wymachiwać drutami, a Noel pisać poezję, od których coraz bardziej głupieje. Zebraliśmy się w naszym pokoju do zabaw. Ala siedziała przy kominku i robiła skarpetki dla ojca. Ojciec ma piękne, męskie, kształtne nogi (zupełnie podobne do nóg Oswalda); a to, co robiła Ala, pasowałoby pewnie na słonia. Noel pisał wiersze:

Droga ma siostra pracuje pilnie,
Ojciec ucieszy się nieomylnie,
Gdy te skarpetki włoży na nogi,
Bo w swej córeczce znalazł skarb drogi.

— Brzmiałoby lepiej, gdybym napisał: „najdroższa siostra”, ale Dora mogłaby się obrazić...

— Wcale nie — rzekła już obrażona Dora — jeżeli uważasz Alę za najdroższą siostrę, możesz to szczerze pisać!

— Doro, bądź cicho, Noel nic podobnego nie myślał — uspokajał Dick.

— On w ogóle nie myśli — powiedział H. O. — jego poezje są bezmyślne.

— Jesteś niegrzeczny — upomniała Dora — i nie mówi się „bezmyślne”, tylko bezmyślne.

— Osiemdziesiąt osiem, dziewięć, dziewięćdziesiąt... — liczyła Ala i znowu spuściła oczko. — Błagam was, uciszcie się na chwilę.

²I. Archibald Niemiły — w wersji angielskiej ten rozdział figuruje jako trzeci (więcej informacji w nocie redakcyjnej).

³Bastablów — dawna, spolszczona odmiana nazwiska Bastable; dziś popr. forma: Bastable'ów.

⁴Rodzina Bastablów znana była z ubóstwa, ale też i z uczciwości — o wcześniejszych przygodach rodziny Bastablów opowiada książka *Poszukiwacze skarbu*.

⁵H. O. — najmłodszy brat nosi imiona Horacy Oktawiusz, w domu jest nazywany H. O.

Nudziliśmy się coraz bardziej. Między Oswaldem a Dorą przyszło nawet do ostrej sprzeczki. Nie wiem, czym by się zakończyło popołudnie, gdyby nie nagle wejście ojca.

— Dobry wieczór, dzieciaki! — odezwał się najmilszy człowiek. — Co za okropna pogoda! Ciemno. Śnieżyca. Brz... Że też zawsze pada nie w porę. Jakies kiepskie urządzenia atmosferyczne!

Poprawiły się nam humory. Ojciec zapalił światło i wziął Alę na kolana.

— Mam dla was trzy rzeczy. Pierwsza: pudełko cukierków...

Rzuciliśmy się na doskonale czekoladki, nadziewane wybornym kremem.

— Druga rzecz — to zaproszenie od pani Leslie⁶. Będzie u niej wielka zabawa, żywe obrazy⁷, latarnia magiczna⁸ i wiele niespodzianek.

Ucieszyliśmy się ogromnie, a zwłaszcza Noel, który się uważa za kolegę naszej poetki.

— Trzecia rzecz — zakończył ojciec — to wasz kuzyn Archibald, który przyjechał do nas na jakiś czas. Nie jest on żadną „rzeczą”, lecz sympatycznym młodzieńcem. Siostrzyczka Archibalda zachorowała na koklusz. Nieznośna choroba. Archibald jest w gabinecie i rozmawia z wujem.

Jęliśmy wypytwać ojca, jaki jest ów kuzyn, ale tatuś nic nam o nim powiedzieć nie umiał, gdyż od szeregu lat nie widział się z ojcem Archibalda. To mówił tatuś, ale my wiemy doskonale, że ojciec Archibalda nie chciał nas znać, gdyśmy byli biedni, chociaż uczciwi, i dopiero teraz nabrał do nas przekonania. Oto przyczyna, dla której go nie lubimy, ale jesteśmy zaniepokojeni, ażeby niechęć względem ojca przelać na syna.

Zbliżyliśmy się do Archibalda bez żadnych uprzedzeń, ale jak długo żyję, nie spotkałem się z tak okropnym imieniem. Moglibyśmy, gdyby się okazał sympatyczny, znaleźć dla niego jakieś zdrobnienie.

— Postarajcie się, dzieci — rzekł ojciec — być dla niego miłe, dobre, gościnne. Jest trochę starszy od Oswalda.

Ojciec z Oswaldem weszli do gabinetu. Archibald siedział w fotelu i rozmawiał z wujem.

Archibald jest wysoki, a chociaż ma dopiero czternasty rok, co chwila ręką przejeżdża pod nosem, ażeby sprawdzić, czy mu czasem nie zaczynają wyrastać wąsy. Powiedzieliśmy sobie uprzejmie „dobry wieczór” i zabrałem go do naszego pokoju na górę. Archibald przywitał się z wszystkimi i nastąpiło długotrwałe milczenie, przerywane jedynie skrzypieniem butów H. O.

Nie można jednak milczeć wytrwale. Zaczęło się mówić o pogodzie, a potem przeszliśmy na tematy bardziej zajmujące.

O nikim nie chciałbym powiedzieć czegoś uwłaczającego, zwłaszcza zaś o człowieku, który nosi szlachetne nazwisko Bastablów, ale muszę przyznać, że Archibald wywarł jak najgorsze wrażenie na Oswaldzie, Dicku i reszcie rodzeństwa... Okropny z niego zarozumialec! Przechwalał się swoimi książkami, zabawkami i tym, że mu w domu wszystko wolno robić. Kpił z poezji Noela, co jest doprawdy karygodne, bo Noel płacze, gdy się kpi z jego poezji. A gdy Noel płacze, to potem choruje. Tylko przez wzgląd na gościnność Oswald i Dick nie wykukali porządnie Archibalda, Ala jednak zmusiła go do zaprzestania żartów i kpin z Noela, zapowiadając mu, że jeżeli się to raz jeszcze powtórzy, pójdzie do ojca na skargę.

Poza tym wstrętne chłopaczysko szarpało dziewczęta za włosy, szczypało je, specjalnie przy obiedzie, gdy trudno jest oddać. A służącym dokuczał w sposób wyjątkowo przykry, nie tak jak inni Bastablowie, którzy robią same niewinne „kawały”, jak chowanie pułapki na myszy do kredensu lub porywanie leguminy. Takie żarty nie pozostawiają najłżejszego cienia żalu. Któregoś dnia zatrzymał Archibald list, który listonosz przyniósł dla naszej pokojowej, Janki⁹, i oddał zbyt późno, a było to zaproszenie na spotkanie z młodzieńcem, który się z nią wybierał na bal. Następnie oblał jej fartuch atramentem, gdy biegła do przedpokoju otworzyć drzwi.

⁶pani Leslie — pisarka, którą dzieci poznały w książce *Poszukiwacze skarbu*.

⁷żywe obrazy — rozrywka modna w XVIII–XIX w. Aktorzy-amatorzy, często osoby z wyższych sfer, przebierali się stosownie i odtwarzali sceny z literatury lub z malarstwa.

⁸latarnia magiczna — prosty projektor, rzucający na ścianę obraz namalowany na szkle. Uważany za wynalazek siedemnastowiecznego jezuita Athanasiusa Kirchera.

⁹Janka — w oryginale ang.: Jane.

Nasze zabawy były dla niego zbyt dziecinne, nic mu się nie podobało, wszystko pragnął wykpić, więc Oswald nic mu nie opowiadał o poszukiwaniach skarbu ani o nowych, wielkich przedsięwzięciach.

Wierzajcie, że przykro jest powiedzieć o krewnych tyle niemiłych rzeczy, ale przypuszczam, że go musiano zamienić w dzieciństwo. Wszak to się zdarza w najlepszych rodzinach.

Dnie mijały powoli i jednostajnie. Mieliśmy wprawdzie w perspektywie bal u pani Leslie i wyjazd Archibalda, ale z jego odwrotem łączył się i nasz powrót do szkoły.

Odetchnęliśmy z prawdziwą ulgą dopiero tego dnia, gdy Archibald poszedł do fryzjera, ażeby ostrzyć sobie włosy.

Jeszcze coś o Archibaldzie! Ciągłe spoglądał w lustro i mówił o urodzie męskiej, a krawaty wiązał z taką starannością, jak gdyby był dziewczyną.

— Hura! — zawołała Ala, jak tylko Archibald wyszedł. — Hura! Nadeszła piękna chwila! Zabawimy się w rozbójników na strychu. A skoro ten potwór powróci, nie odnajdzie nas.

— Ale nas usłyszysz — rzekł Noel gryząc ołówek.

— Nie, nie usłyszysz, będziemy szepcą bandą lekko stąpających bandytów. Pójdź, Noelu, poezje skończysz na górze.

— Te poezje są o nim — powiedział Noel ponuro — gdy wróci do szkoły, włożę je do koperty, nalepię znaczek i niechaj się dowie, co myśli o nim poeta.

— Prędejj! — zawołała Ala. — Kochani rozbójnicy, śpieszcie się, póki czas!

Z wielkim pośpiechem nałożyliśmy grube skarpetki na nogi, ażeby cicho stąpać, i ustawiliśmy piramidę z krzeseł. Trzeba wam wiedzieć, że na nasz strych nie prowadzi schody. W suficie jest małe okienko, do którego po krzesłach dostał się Oswald; umocował drabinę ze sznurów, prezent od wujka, usunęliśmy krzesła i wdrapaliśmy się wszyscy po kolei, wciągając za sobą drabinę. Rozpoczęła się zabawa. Strych ten najprawdopodobniej niewiele się różni od innych strychów, jest na nim wiele kurzu i starych gratów, trudno po nim chodzić, bo deski są nierówne, lecz my czujemy się tu znakomicie. Bawiliśmy się wesoło, chociaż cicho, a Noel był uszczęśliwiony, gdyż uczyniliśmy go hersztem zbójckim.

Naturalnie, najlepszą chwilą był powrót Archibalda. Biegał po całym mieszkaniu i wołał: „Nieżnośne dzieciaki, gdzieście się podziały?” Słuchaliśmy z zapartym oddechem, czekając, co będzie dalej. Janka powiedziała mu, że nas nie widziała. Ojca ani wujka nie było w domu, więc błąkał się. Chodził z kąta w kąt i coś tam mruczał pod nosem. Może byśmy się radowali jeszcze przez szereg godzin widokiem jego samotności i gniewu, gdyby nie smutny wypadek z nosem poety. Kichnął! Byle drobiazg powoduje u niego zaziębienie, a kicha nad wiek głośno. Właśnie w chwili, gdy Archibald znajdował się na korytarzu, pod okienkiem, z którego spoglądaliśmy na jego kwaśną minę, Noel kichnął.

— Mam was! — krzyknął Archibald. — Pomóście mi wejść na górę...

Milczenie było odpowiedzią.

— Jak nie, to nie. Zaraz pójde po drabinę...

Nie chcieliśmy, by ktokolwiek z domowników został wtajemniczony w naszą wycieczkę „w góry”. Wprawdzie nie mieliśmy żadnego wyraźnego zakazu, więc i nie obawialiśmy się nagany, ale przyjemnie jest mieć jakąś własną tajemnicę.

— Pozwolimy ci wejść po naszej drabinie, o ile przyrzekniesz, że nie powiesz nikomu.

Przyrzekł, wszedł na górę i od razu zepsuł nam humory. Nie podobała mu się nasza zabawa, majstrował przy rurach od wodociągu, które tamtędy przechodzą, a gdy mu Oswald zwrócił uwagę, że może coś zepsuć, mówił:

— Wam nie wolno, bo jesteście małe dzieci. Ale ja się znam na takich rzeczach.

Opuściliśmy strych, odkładając na inny raz zbójcką zabawę. Właśnie nazajutrz zdarzyło się to nieszczęście.

Zdaje mi się, że nasz antypatyczny kuzyn znalazł wiersz Noela, który go przedstawiał w ciemnych kolorach. Zamiast ostro Noelowi nagadać, jął się do niego przymilać i podarował mu piękne pióro. Stało się bardzo źle, gdyż Noel ma zwyczaj ssania rzeczy, którą pisze (podobno to wpływa na natchnienie), a atrament jest trucizną.

Następnie Archibald zaprzyjaźnił się z Noelem, który był z tego bardzo dumny, i cały dzień mówili sobie sekrety. Wreszcie wyszli na dobrą chwilę.

Nagle w cichym, spokojnym, szczęśliwym domu Bastablów wszczął się rwetes nie do opisania. Służące biegały ze ścierkami i kubłami, a woda zaczęła się lać przez pokój wujaszka, gabinet i jadalnię...

Noel spojrzął na Archibalda i zawołał:

— Niech sobie idzie...

Ala objęła Noela za szyję i powtórzyła:

— Odejdź, Archibaldzie.

A jemu wcale odejść się nie chciało.

Wtedy pobladły Noel zaczął jęczeć i wołać, że wołałby się wcale nie urodzić i co na to tatuś powie.

— Na co, Noelu — zapytała Ala — co się stało? Powiedz prawdę, wiesz przecież, że nikt cię nie opuści.

— I nie pozwolicie, ażeby mi zrobił coś złego?

— Gadaj, gaduło! Skarż, skarżypyto — zaczął wymyślać Archibald.

— Poszliśmy na górę. Powiedział, że zrobimy coś nadzwyczajnego, ale przedtem muszę dać słowo honoru, że nikomu nie powiem, a teraz woda cieknie... — jęczał braciszek poeta.

— Po coś to zrobił, głuptasie, przecież mówiłem tylko naumyślnie — rzekł nasz wstrętny kuzyn.

— Nie rozumiem — odezwał się Oswald — coś kazał zrobić Noelowi?

— On wam nie powie, ponieważ mi przyrzekł — triumfował Archibald — a ja wam powiem, o ile zaręczycie mi honorem, którym szcycicie się tak bardzo, że nie powiecie nikomu, iż miałem coś z tym wspólnego.

Noel stawał się coraz bledszy, a myśmy drżeli, że lada chwila wróci wuj albo ojciec.

— Przyrzekamy, ty potworze, przyrzekamy! — zawołaliśmy.

— Oto, co wynika, gdy ktoś starszy zadaje się ze smarkaczami. Opowiadałem mu, że najlepiej jest zatamować krew uciskając żyły, a ten głuptas pytał, czy to samo będzie, gdy zakręci śrubkę przy rurze od wodociągu. A potem zmajstrował coś.

— To twoja wina, tyś mi to kazał zrobić! — wołał Noel zielony z rozpacz.

— Noelu, idź z Alą, ona cię uspokoi — powiedział Oswald — my ciebie nie opuścimy, ale pamiętaj, bracie, dotrzymać danego słowa i ani ojcu, ani wujkowi nie pisać nic o tym łobuzie.

Ala odeszła z Noelem, reszta rodzeństwa pozostała z Archibaldem.

— Wiedz o tym — powiedział Oswald — że danego słowa nie złamię z nas nikt; ale pamiętaj też, że się do ciebie słowem nie odezwę.

— Ani żaden z nas — dodał Dick. — Nie rozmawiamy z nikczemnikami i nawet przy starszych nie będziemy mówić do ciebie, i wszystko nam jedno, co o tym pomyślisz!

Oswald pobiegł po ślusarza, który przybył natychmiast. Potem Oswald z Dickiem zaczęli na powrót ojca, weszli z nimi razem do gabinetu i Oswald rzekł, co następuje:

— Ojcze, niezmiernie nam przykro, ale jeden z nas uszkodził rurę na strychu i woda zalała pokoje. Nie zmuszaj nas do powiedzenia czegoś więcej, gdyż jesteśmy związani słowem honoru. Nie pytaj także, kto jest winowajcą...

Ojciec przygryzł wąsy, Dick dodał:

— Oswald był u ślusarza, który już naprawia.

Wtedy ojciec zapytał:

— Jakim sposobem dostaliście się na strych i cóż wy tam robicie?

Nasza wielka i jedyna tajemnica o strychu, drabinie ze sznurów, wyszła na jaw. Wprawdzie tatuś nie wzbraniał nam nigdy tych wycieczek „w góry”, ale teraz rozgniewał się srodo i straszną naznaczył nam karę. Nie wolno nam było pójść na zabawę do pani Leslie! Tylko Archibald miał pójść, bo kiedy ojciec zapytał go, czy był razem z nami na strychu, zaprzeczył. I ten człowiek mieni się naszym kuzynem!

Dotrzymaliśmy słowa, ale też nie rozmawialiśmy z nim. Ojciec przypuszczał, że przez zazdrość o latarnię magiczną i inne niespodzianki na zabawie u pani Leslie.

Nie mogę zataić, że czuliśmy się bardzo nieszczęśliwi, a najbardziej rozpacział Noel, albowiem wiedział, iż ciężką karę ponosimy za jego winę. Był dla nas niezmiernie tkliwy i chciał dla każdego napisać wiersz, ale czuł się tak nieszczęśliwy, że nawet pisać nie mógł.

Poszedł z rozpacz do kuchni, usiadł Jance na kolanach i narzekał na ból głowy. Dzień następny był dla niektórych dniem zabawy u pani Leslie, a dla nas dniem żałoby.

Archibald przygotował odświętne ubranie, nowy krawat, wyjął parę czarnych, jedwabnych skarpetek w czerwone paski — i poszedł do pokoju kąpielowego.

Janka i Noel szeptali coś na schodach. Janka weszła na górę, Noel zszedł na dół. Janka zapukała do łazienki:

— Oto mydło, panie Archibaldzie, zapomniałam wcześniej przygotować.

Otworzył drzwi i wyciągnął rękę.

— Chwilkę niech pan zaczeka, mam jeszcze coś w ręce.

Gdy to mówiła, światło nagle zgasło.

— Oto jest — mówiła Janka. — Daję panu do ręki. Zejdę w tej chwili na dół sprawdzić, co się stało z gazomierzem. Ale pan się może spóźnić. Radziłabym wykąpać się natychmiast. Już jest po piątej, a naprawa gazu¹⁰ może potrwać dobry kwadrans.

Nie było jeszcze piątej godziny. Może nieładnie jest kłamać... Widocznie Janka miała w tym jakiś poważny cel.

Noel zrobił parę kroków i wrócił.

— Przekręciłem zamek z zewnątrz — szepnął — nie będzie mógł wyjść.

Słyszeliśmy, jak Archibald napełnił wody do wanny, mył się i szorował; a wszystko po ciemku. Na szczęście ojca ani wuja nie było w domu.

— Cicho... — mówił tajemniczo Noel — czekajcie...

Siedzieliśmy wszyscy cichutko.

— Nie pytajcie o nic. Sami ujrzycie...

W końcu Archibald wykąpał się i chciał opuścić łazienkę, ale daremnie. Stukał, pukał, szarpał drzwi. Wszystko bezskutecznie.

Więc Noel podszedł do drzwi i zaczął rozmówki przez dziurkę od klucza.

— Wypuścimy cię, jeżeli zwolnisz nas z danego słowa o rurze wodociągowej. Nie powiemy, zanim nie wyjedziesz.

Przez długi czas nie odpowiadał, tylko się mocował z drzwiami. W końcu przystał.

— Już więcej do tego wstrętnego domu nie przyjadę. Gadajcie, co się wam podoba...

— A więc światła! — zawołał Oswald nieświadom prawdy, która po chwili miała go olśnić.

Noel pobiegł po Jankę, aby zapaliła gaz. Odkręciliśmy zamek i oczom naszym ukazał się widok nieoczekiwany.

Wyobrażaliśmy sobie, że twarz Archibalda będzie purpurowa ze złości albo śmiertelnie biała z rozpacz, że się może spóźnić na zabawę. Tymczasem była czarna. Czarna z odcieniem granatowym. Wyglądał jak Murzyn. Ręce miał czarne, szyję też i nawet z rannych pantofli wychylały się czarne nogi.

Stanęliśmy jak wryci.

— Czemu się tak na mnie gapicie, jak ciełą na malowane wrota? — wrzasnął Archibald.

Milczenie. Milczenie. Milczenie.

Tylko Janka, która najwidoczniej nie zapomniała płamy na fartuchu i spóźnionego listu, zawołała:

— Pan myślał, że podałam panu mydło. Cha, cha, cha! A to była czarna pasta do obuwia, znakomita czarna pasta, która nie puszcza...

I podsunęła mu pod nos lustro, w którym Archibald zobaczył swoje czarne oblicze.

Może przypuszczacie, że widok ten rozśmieszył nas. Przeciwnie, zaległo jakieś przykre milczenie. Archibald odepchnął Jankę wraz z lustrem, pobiegł do swojego pokoju i zamknął się na klucz.

— On nie pójdzie na zabawę! — rzekła Janka i poszła do kuchni.

Dotychczas nie wiem, czy Noel zwierzył się jej. Noel jest mały i nie ma zbyt silnego charakteru, więc może się wygadał. H. O. utrzymuje, że miał pełne prawo zemścić się na człowieku, który nam zrobił taką krzywdę. Sądzę jednak, że Noel żałował, bo gdy Dora

¹⁰naprawa gazu — w pierwszych latach XX w., kiedy dzieje się akcja *Przygód młodych Bastablów*, oświetlano mieszkania lampami gazowymi, elektryczność nie była jeszcze rozpowszechniona.

pytała, czy pozwoli wywabić czarny kolor z Archibalda, odrzekł, że nie ma nic przeciwko temu.

Ale nic nie było w stanie zmyć z Archibalda czarnego koloru. Ojciec wrócił do domu i strasznie się na nas gniewał. Mówił, żeśmy wykroczyli przeciw obowiązkom gościnności, że się nas wstydzi, że takie postępowanie jest karygodne. Wiele innych słów mówił ojciec, a myśmy to znosili w milczeniu. Nie mogę siebie ani rodzeństwa nazwać ofiarami danego słowa honoru, ale bądź co bądź postąpiliśmy szlachetnie.

Ktoś jednak powiedział ojcu prawdę. Przypuszczam, że Janka. Późno wieczorem przyszedł do nas tatuś i powiedział, że teraz rozumie czarną zemstę Noela i że się już na nas nie gniewa. Potem powiedział Archibaldowi parę słów na stronie. Nazajutrz czarna farba zaczęła schodzić z Archibalda i stanowczo wyglądał sympatyczniej. Gdy przybrał kolor jasnoszary, wrócił do szkoły i napisał do nas list.

List brzmiał, jak następuje:

Kochani Kuzynowie!

Myślę, że byłem gorszy dla was, niż chciałem. Ale nie jestem przyzwyczajony do takich dzieciaków jak wy. Wuj miał rację, bo swoją drogą do trzymaliście słowa i to nie jest głupstwem. Mam nadzieję, że nie zachowacie do mnie żalu na całe życie. Zdaje się, że nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

Wasz kuzyn Archibald

Przypuszczam, że wyrzuty sumienia przeniknęły do tego zimnego serca i może teraz będzie prawdziwym Bastablem. Trudno jednak wilkowi zmienić się w jagnię.

Przypominam sobie, jaki był czarny, gdy wyszedł z kąpieli, a potem wybielał. Czasem i z duszy można wywabić takie czarne plamy. Tylko wanna nie wybielała i trzeba ją było polakierować.

II. WYCIECZKA DO RZYMU¹¹

Rzecz ta działa się przed Bożym Narodzeniem, a że mnóstwo autorów cofa się o całe miesiące, nie widzę powodu, dla którego nie miałbym uczynić tak samo.

Jak wam wiadomo, posiadamy dwóch wujaszków. Jeden to ten odnaleziony wujek indyjski, a drugi wuj Alberta-z-Przeciwka, który dawniej sąsadował z nami.

Ten wuj Alberta-z-Przeciwka (dla skrócenia wuj Alberta) wpadł na przedziwny i nie-szczególny pomysł ożenienia się.

Jako serdeczny przyjaciel, zaprosił nas wraz z ojcem na uroczystość weselną. Ślub miał się odbyć na wsi u rodziców narzeczonej.

Spędziliśmy kilka bardzo miłych dni w oczekiwaniu na wesele. Byliśmy właśnie zajęci wygrzebywaniem kasztanów z popiołu (na usilne prośby, poparte przez wuja Alberta, pozwolono nam bawić się w kuchni). W całym domu panował wyjątkowy nieład i za-wracanie głowy, bo coraz to przychodziły z Londynu jakieś pudła i paczki z sukniemi, kapeluszami, szlafroczkami, bluzkami i tym podobnymi rzeczami.

Nie pojmuję doprawdy, czemu panna, która wychodzi za męża, potrzebuje aż tylu sukien, palt i pantofli. Jestem przekonany, że żaden mężczyzna nie pomyślałby o sprawieniu sobie dwóch tuzinów par spodni albo kamizelek, ażeby wziąć w nich ślub.

— To dlatego, że jadą w podróż poślubną do Rzymu — mówiła Ala, kiedyśmy debatowali nad tą kwestią. — Zdaje mi się, że w Rzymie można kupić tylko narodowe stroje.

— Szczęśliwe bestie! — westchnął H. O. — Chętnie bym się z nimi zabrał.

— Nie mówi się „bestie”, bo to jest niegrzecznie — upomniała Dora.

— A więc szczęśliwi ludzie — poprawił H. O.

— Jest to marzeniem mojego życia — westchnął brat-poeta.

— Co jest marzeniem twojego życia? — zapytała Ala.

— Pojechać do Rzymu. Chciałbym, ażeby mnie wzięli z sobą.

Strój

¹¹II. *Wycieczka do Rzymu* — w wersji oryginalnej ten rozdział figuruje jako pierwszy.

— Nie lódź się, nie wezmą cię z sobą — rzekł Dick. — Słyszałem, jak tatuś mówił wczoraj, że podróż i pobyt w Rzymie kosztują strasznie dużo pieniędzy.

— Byłyby to tylko koszty podróży — odparł Noel — zresztą mógłbym jechać trzecią klasą albo i w kufrze. Raz dotarłszy do Rzymu, rychło bym zaczął zarabiać na życie. Układałbym ballady i śpiewał na ulicy. Włosi płaciliby mi lirami za śpiew... w ogóle kraj, w którym pieniądze mają tak śliczną nazwę — „liry”, musi być niezmiernie piękny i poetyczny.

— Ale czybyś potrafił pisać włoskie poezje? — zapytał H. O. szeroko otwierając usta.

— Na razie nie, nauczyłbym się prędko. Zacząłbym od śpiewania pieśni angielskich. Na pewno jest tam mnóstwo ludzi, którzy rozumieją po angielsku. A gdyby nawet nie rozumieli, czy nie wzruszą się gorące południowe serca na widok bladego i smukłego chłopca, który w obcym języku nuci smutne pieśni. Na pewno deszcz lirów sypnąłby mi się pod stopy. O, bo to nie są zimni ludzie Północy! Przecież w naszej ojczyźnie są sami kupcy, piekarze, szewcy, bankierzy, doktorzy lub inni równie mało interesujący obywatele. Tam zaś, pod włoskim niebem, znajdują się sami bandyci, kuglarze, wędrowni muzykanci, którzy tańczą i przygrywają na gitarze.

— W twoim opowiadaniu jest dużo fantazji — przerwał Oswald. — Kasztany gotowe. Weźcie szczypcę, ażeby je wybrać z popiołu. H. O., zamknij usta, bo połkniesz wronę.

Zajęliśmy się obieraniem i jedzeniem kasztanów i wyszła nam z głowy cała rozmowa. Dopiero z czasem zrozumieliśmy, jak fatalne następstwa miały lekkomyślne słowa poety.

Nazajutrz rano zwrócił się H. O. do Dory:

— Mam ci coś do powiedzenia, ale w najgłębszej tajemnicy.

Poszli do kąta i szeptali przez pół godziny. Następnie Dora zabrała się do szycia, ale nikomu z nas nie było wolno oglądać jej roboty, tylko H. O. zbliżał się co chwila i mówił Dorze coś do ucha.

— Jest to najprawdopodobniej jakiś ślubny prezent — orzekł Dick i przestaliśmy się tym interesować.

Nadszedł uroczysty dzień ślubu. Ubraliśmy się odświętnie, a dziewczęta włożyły nowe, białe, jedwabne sukienki i srebrne pantofelki, upominek od wujka z Indii.

Kiedy usadowiliśmy się w głębokiej landarze, ażeby jechać do ślubu, zauważyłem, że H. O. miał przy sobie jakąś paczkę. Przypuszczałem, że jest to ślubny upominek dla państwa młodych. Dora uśmiechała się zagadkowo, a H. O. milczał tajemniczo. Byliśmy mocno zaintrygowani, co to jest, lecz znając naszego najmłodszego brata, przypuszczaliśmy, że się prędzej czy później wygada.

Kościół był przepełniony. Po ceremonii, która trwała dosyć długo, udaliśmy się na wspaniały obiad.

Nie będę wyliczał potraw ani smakołyków, tortów, kremów, lodów — zostaliśmy nawet poczęstowani szampanem. Tatuś pozwolił nam skosztować. Tych, którzy nie pili szampana, zapewniam, że ma smak wody sodowej z lekarstwem. Wino, któreśmy kiedyś fabrykowali z domieszką cukru, było znacznie smaczniejsze.

Na weselu wszyscy zawracali głowę państwu młodym. Zachwycali się młodą żoną, która, moim zdaniem, nie wyglądała ładnie, była blada i smutna. Winszowali wujowi Alberta, który robił wrażenie bardzo niezadowolonego. Nie wiem tylko, czy żałował, że się w ogóle ożenił, czy też, że podróż do Rzymu tak wiele go będzie kosztowała.

Wreszcie panna młoda poszła zdjąć swoją weselną suknię. Zauważyliśmy, jak H. O. (z paczką pod pachą) wysunął się za nią.

Po chwili wróciła żona wuja Alberta, przebrana w podróżny kostium, gotowa do drogi.

Wsiadła z wujem do karety; myśmy zajęli miejsca w naszej landarze i pojechaliśmy na stację.

A gdy po czułych pożegnaniach wdrapaliśmy się znowu do naszego wehikułu, ojciec nagle zapytał:

— Gdzie jest H. O.?

Rozpoczęły się nawoływania i poszukiwania. Ale daremnie. Ktoś z nas wyraził przypuszczenie, że H. O. pozostał w domu i opycha się słodyczami. Nie było go jednak ani w jadalni, ani w salonie. Pobiegliśmy do kuchni.

— Kuchareczko, kuchareczko, czy nie widziałas H. O.?

— Owszem, kręcił się tutaj z jakąś paczką, a potem poszedł stąd.

Alkohol, Uczta

Daremnie szukaliśmy go po całym domu.

— Chyba go nie porwały jakieś wróżki — rzekła Ala — jest na to zbyt duży.

— I zbyt brzydki — dodał Dick.

— O, nie mów tego o nim, zwłaszcza teraz gdy zginął — rozpląkała się Dora.

Po chwili gospodyni przyniosła nam paczkę, którą podobno zostawił u stróża „ten mały chłopczyk i polecił oddać panu Bastablowi”. Rozpakowawszy paczkę znaleźliśmy najlepsze buciki H. O., jego nową czapkę i krawat. Ścisnęły nam się serca.

— Czy nie było żadnej kłótni między wami? — zapytał zmartwiony ojciec.

Lecz w dniu weselnym nie mogło między nami zająć żadne nieporozumienie.

— A może mu któryś dokuczył, może zastraszył biedaka? — ciągnął zgnębiony tatuś.

Zrobiło nam się zimno, albowiem czytaliśmy nieraz w gazetach, jak młodzi samobójcy zostawiali najlepsze części garderoby owinięte w papier, a potem szli się utopić.

— Nikt mu nie dokuczał, przez cały dzień był wesół i przy apetycie — odpowiedziliśmy jednogłośnie.

Dick pochylił się nad jednym z bucików i wyjął zeń biały arkusz papieru. Był to list od H. O.; poznaliśmy po krzywych literach charakter pisma najmłodszego braciszka.

List brzmiał:

Kochany Tatusiu i wszyscy!

Zostaję kłownem. Gdy zdobędę sławę i szacunek, wrócę samochodem, opływając...

Kochający syn Horacy Oktawiusz

— Opływając? — zapytał ojciec.

— To znaczy, tatusiu, opływając w pieniądze — rzekła Ala.

Zapanowało długie milczenie. Staliśmy wszyscy bladzi i wystraszeni dokoła bucików H. O. Wtem Dora zawołała:

— O Boże! Więc to było to! Prosił mnie, ażebym mu w sekrecie uszyła kostium kłowna. Mówił, że chce zrobić niespodziankę wujowi Alberta i jego żonie. Nie przypuszczałam, że pragnie zrobić coś złego. O Boże! Boże! — i wybuchnęła strasznym płaczem.

Ojciec nie myślał o pocieszaniu Dory, tylko pytał gorączkowo:

— Dokąd mógł pójść ten dzieciak, gdzie się podział?

Wtedy Dick uderzył się ręką w czoło i rzekł:

— Gdybym był wtedy przypuszczał... Otóż tego dnia, w którym Noel mówił o śpiewaniu ballad na ulicach Rzymu, H. O. spytał mnie, czy można by tam zajeżdżać w kufrze.

— W kufrze?... — jęknął tatuś i usiadł ciężko na krześle.

Udaliśmy się do pokoju panny młodej, gdyż ojciec przypuszczał, że jeśli H. O. był tak naiwny i rzeczywiście umieścił się w kufrze, to musiał przedtem wyrzucić trochę ubrań, ażeby zrobić sobie miejsce. Tak też było, znaleźliśmy pod łóżkiem kilka koszul, halek i coś tam jeszcze. Ojciec kazał to zapakować i zdecydował, że pojedzie natychmiast do Dover.

Poprosiłem ojca, ażeby mnie zabrał z sobą. Najstarszy syn może się przydać w takim wypadku. Nie wiem, czy tatuś wziął to pod uwagę, czy też po prostu smutno mu było jechać samemu.

Droga nie należała do najprzyjemniejszych. Wyobrażałem sobie, jak przykro będzie pannie młodej, gdy po otwarciu kufra, zamiast garderoby znajdzie zapłakanego i umorusanego H. O.

Ojciec palił papierosy dla zabicia czasu. (Biedny Oswald nie miał nawet miętówki, ażeby sobie skrócić drogę).

Gdy zajechaliśmy do Dovru¹², spostrzegliśmy na peronie wuja Alberta wraz z żoną.

— Co się stało? — zawołał wuj Albert. — Wszyscy zdrowi?

— Owszem, zdrowi — rzekł ojciec — zgubiliśmy tylko H. O. Czy nie macie go z sobą?

— Nie, pan chyba żartuje; zgubiliśmy tylko kufer.

Zgubili kufer! Słowa te uderzyły w nas jak grom. Ale tatuś szybko odzyskał przytomność umysłu. Zaczął mówić, tłumaczyć i oddał żonie wuja Alberta paczkę z bielizną.

¹²Dovru — dziś w polszczyźnie nazwa miasta Dover uznawana jest za nieodmienną, zatem popr. forma D.: Dover.

H. O. był zupełnie zgubiony i Bóg jeden wiedział, co mogło się stać z zaginionym kufrem. Mógł wypaść z wagonu i wpaść prosto do rzeki, mógł być skradziony przez jakichś strasznych ludzi...

Takie i tym podobne przypuszczenia nasuwały się Oswaldowi. Nie wyraził ich na głos, bo w takich razach najlepiej jest milczeć i nie przypominać starszym o swojej obecności, bo można usłyszeć: „cicho, smarkaczu” albo wręcz zostać odprowadzonym do hotelu, co nie należy do przyjemności.

Wtem zbliżył się do nas zawiadowca stacji, niosąc telegram, który brzmiał:

Kufer bez numeru i adresu został zatrzymany w Londynie. Bardzo po-
dejrzanе dźwięki. Prawdopodobnie maszyna wybuchająca.

Zawiadowca nie chciał nas zapoznać z tekstem depeszy, dopóki mu ojciec nie opowiedział historii o H. O.

Gdy usłyszał, roześmiał się serdecznie i powiedział, że odtelegrafuje, by kufer otworzono, a „niebezpieczną maszynę” należy zatrzymać aż do zgłoszenia się po nią.

Pojechaliśmy do Londynu pokrzepieni na duchu, ale nie na ciele, gdyż sporo czasu minęło od ostatniego wspólnego posiłku. Oswald szczerze żałował, że nie wziął ze sobą smażonych owoców.

Późno już było, gdy zajechaliśmy na dworzec londyński.

Udaliśmy się natychmiast do sali bagażowej. Na jakiejś skrzyni siedział tragarz (bardzo sympatyczny człowiek), obok niego młody winowajca H. O. w biało-czerwonym ubraniu błazna, zakurzony, z tak brudną twarzą, że trudno go było poznać. W jednej ręce trzymał kawał chleba z serem, a w drugiej szklankę z winem, którym go raczył tragarz.

Ojciec porwał w ramiona H. O.

Poznaliśmy kufer cioci Alberta. Podróż do Londynu odbył H. O. na spodzie kufra. Półkę z kapeluszami miał cały czas na głowie! Pojechaliśmy do hotelu i ojciec kazał się nam natychmiast położyć. Pragnąłem dowiedzieć się czegoś od H. O., ale nie można się było z nim dogadać. Był zły i zmęczony. Nazajutrz wróciliśmy na wieś. Oczekiwano nas tam z wielkim niepokojem.

Tatus nie gniewał się na H. O., ale zapowiedział, że się z nim wieczorem „rozmówi”. Wiadomo, że taka odłożona rozmowa do przyjemności nie należy, ale przecież zasłużył na karę.

Chciałem koniecznie dowiedzieć się bliższych szczegółów, ażeby móc to powiązać w całość, lecz H. O. mówił uparcie:

— Nie męczcie mnie, dajcie mi święty spokój!

Byliśmy jednak tak mili dla niego, że ostatecznie opowiedział nam wszystko. Nie w porządku chronologicznym, gdyż tego nie potrafi, ale autor ułożył to wszystko, bo inaczej trudno by było zrozumieć.

— Wszystko przez Noela — mówił H. O. — po co chodził i mówił, że pragnie zostać śpiewakiem ulicznym w Rzymie? Kłown jest taki sam dobry jak jakiś śpiewak. A może nie? Było to tego dnia, w którym piekliśmy kasztany. Wtedy właśnie zdecydowałem się.

— Ale czemuś nam nie wspomniał?

— Owszem, mówiłem Dickowi. Nie powiedział mi: nie rób albo namyśl się. I w ogóle nie dał mi żadnej rady. On też zawinił. Tatus powinien się z nim także rozmówić. I z Noelem też.

Nikt się z nim nie sprzeczał, gdyż pragnęliśmy się dowiedzieć historii do końca.

— Pomyślałem, że Noel jest swoją drogą głupim tchórzem, który się nie decyduje jechać do Rzymu, bo się obawia podróży w kufrze. A ja się nie bałem, chociaż było zupełnie ciemno, aż do chwili kiedy sobie zrobiłem dziurki do oddychania. Wyciąłem je szczyrzykiem, wtedy kiedy się znajdowałem w wagonie towarowym. Zdaje mi się, że wycinając dziurki zdarłem numer i bilet. Widziałem, jak odpadł, ale przecież nikomu nie mogłem tego powiedzieć! To wina wuja Alberta, powinien był interesować się swoim bagażem! Powinien był zaglądać! Przez niego zginąłem.

— Więc opowiedz, jak zginąłeś, a winy nie zwałaj na innych — przerwała Dora.

— To jest tak samo twoja wina — nudził H. O. — bo tyś mi uszyła kostium.

— Braciszku, jakiś ty niewdzięczny — rzekła Dora — przecież mówiłeś, że to będzie niespodzianka dla nowożeńców.

— Bo to miała być niespodzianka! Gdyby, otworzywszy kufer, znaleźli mnie nagle pośród stosu sukien, w moim wspaniałym kostiumie, na pewno by oniemieli ze zdumienia. Zawołałbym wtedy: „Oto znowu razem, znowu razem, drodzy przyjaciele!” Tymczasem wszystko się nie udało, a tatuś ma się z mną rozmówić.

H. O. urwał i zaczął siąkać nosem (bardzo głośno). Tym razem nie zwróciliśmy mu uwagi, jak cenne usługi w podobnych wypadkach oddaje chustka do nosa.

— Ale czemuś mi nie powiedział od razu, że się wybierasz w podróż? — zapytał Dick.

— Właśnie, żebyś mi przeszkodził. Ty byś mi nie pozwolił, bo to nie był twój pomysł. Ty zawsze jesteś taki — chciał się klócić H. O.

— A co zabrałeś z sobą? — zapytała Ala, nie dopuszczając do sprzeczki między braćmi.

— Przygotowałem sobie paczkę z tortem, szynką, chlebem, masłem i cukierkami, ale w końcu zapomniałem zabrać. Miałem szczyryk. Część ubrania zdjąłem, jak wam wiadomo, a resztę zostawiłem na sobie pod kostiumem, gdyż obawiałem się przeziębienia. Cichaczem wszedłem do pokoju cioci Alberta, wyrzuciłem trochę ubrań, potem umieściłem się wewnątrz, trzymając bardzo zręcznie przedziałkę z kapeluszami, którą następnie umieściłem nad sobą. Czy któryś z was potrafiłby tak?

— Na pewno nie — odrzekła Dora.

H. O. ciągnął dalej:

— Było mi strasznie gorąco, więc postanowiłem zrobić małą dziurkę. Ale zaciąłem się w palec. A potem słyszałem, jak nas zamknięto na klucz.

— Kogo „nas”?

— Mnie i kufer. Zawieźli nas na kolej. Nikt nie mógł przewidzieć, że siedzę wewnątrz, więc przewracali mnie na wszystkie strony. Było mi tak niedobrze, że gdybym nawet miał jakieś prowianty, też nic bym nie mógł zjeść. Ale miałem na szczęście flaszkę z wodą. Byłoby wszystko jak najlepiej, gdyby nie to, że korek wypadł. A kiedy go wreszcie znalazłem, było za późno, bo woda wyciekła. A kiedy mnie nareszcie wniesiono do wagonu, byłem bardzo zadowolony, że się skończyło to trzęsienie. Potem zdrzemnąłem się. Obudziło mnie jakieś pchnięcie. Wyrzałem przez otwór i nawet go rozszerzyłem. Wtedy naklejka z numerem i adresem kufra odpadła. Ktoś pchnął kufer (i ja chętnie bym pchnął tego „kogoś”) i rzekł: „Co to jest?” Zdaje mi się, że jęknąłem, gdyż powtórzył: „Dziwne kwilenie... i nie ma numeru”, a sam widziałem, jak swoją wstrętną nogę opierał na tym numerze. Potem pchnęli mnie i zanieśli gdzieś. Potem nic już nie widziałem, bo było ciemno.

— Ciekawy jestem — rzekł Dick — czemu myśleli, żeś jest jakąś eksplodującą maszyną?

— To było okropne — westchnął H. O. — wiecie, jak hałasuje mój zegarek, od czasu kiedy się zepsuł. Słyszałem z głębi kufra, jak ktoś mówił: „Cóż to za dźwięk? Brzmi niczym piekielna maszyna. Inspektor powinien kazać go wrzucić do rzeki”, ale drugi człowiek odezwał się: „Trzeba wezwać policję”. Wtedy właśnie...

— Coś zrobił wtedy?

Wyrzałem przez otwór. Wszyscy zerwali się na równe nogi i odskoczyli od kufra, rzekłem więc: „Zacni ludzie (ładnie powiedziałem, prawda?), zacni ludzie, pozwólcie mi wyjść”.

— A ci ludzie?

— Rozmawiali ze mną przez dobrą chwilę, potem przyszedł ślusarz, który oderwał zamek. A gdy kufer został otwarty, zebrał się koło mnie tłum ludzi i wszyscy się śmieli, strasznie się śmieli.

Węc się obraziłem. Tylko jeden pocziwy tragarz dał mi jeść i pić i powiedział, że ze mnie zuch. On miał rację. I tatuś mógłby z samego rana wziąć mnie na rozmówkę zamiast odkładać do wieczora. Bo co ja złego zrobiłem? Wszystko jest waszą winą. Czemuście mnie nie pilnowali? Czy nie jestem waszym małym braciszkiem i czy nie jest waszym świętym obowiązkiem uważać na mnie? Mówiliście to tyle razy bez potrzeby.

Te ostatnie słowa oburzyły Oswalda. Nagadał niegrzecznemu braciszкови ile wlezie. Dora musiała tulić i uspokajać H. O., który się strasznie rozpłakał.

Do owej wieczornej rozmowy między ojcem i H. O. nie doszło wcale. Mały podróżnik rozchorował się, i to nie na żarty. Przyszedł doktor i powiedział, że ma gorączkę ze

Wina, Opieka, Brat

zdenerwowania. Może doktor miał rację... Oswald i Dick przypuszczali, że to weselny obiad, po takich wstrząsach w kufrze, przyprawił H. O. o chorobę.

Tatuś nie gniewał się na H. O. Jediną karą, jaka go spotkała, było spalenie kostiumu kłowna (który H. O. kupił za własne oszczędności).

Gdy wyzdrowiał, powiedzieliśmy mu parę gorzkich słów, a mianowicie, by nie spędzał swoich win na nikogo z rodzeństwa.

Muszę jednak przyznać, że ten pan od bagażu, który go nazwał zuchem, miał rację!

III. DO CHIN!

Oswald jest niezwykle skromnym chłopcem, ale i on nie może zaprzeczyć, że ma nader bystry umysł. Autor słyszał, jak mówili to ojciec i wuj Alberta-z-Przeciwka.

Doprawdy, najlepsze pomysły przychodzą mu czasem ni stąd, ni zowąd do głowy. Właśnie coś takiego miał wyjawić swojemu rodzeństwu, gdy nieoczekiwany przyjazd Archibalda pokrzyżował wszystkie plany.

A kiedy Archibald, słusznie przez nas Niemiłym zwany, opuścił progi naszego nie dla wszystkich gościnnego domu, Oswald powrócił do swojego pomysłu. Udał się do wspólnego pokoju zabaw. Wszyscy byli zajęci: Noel z H. O. grali w halmę, Dora robiła jakieś pudełko, a Dick kleił z papieru model statku.

— Przyszedłem zwołać walną naradę. Gdzie jest Ala?

Ali nie było. Oswald kazał H. O. pójść po Alę. H. O. nie chciał się, bo kończył partię halmy i wygrywał. Jako najmłodszy, H. O. powinien być posłuszny. I właśnie Oswald zamierzał mu to dobitnie wytłumaczyć, a słowa poprzeć pchnięciem (bardzo lek- kim i niebolesnym), gdy nagle wpadła Ala z oznakami wielkiego wzruszenia.

— Czy ktoś z was widział Rexa? — zapytała drżącym głosem.

— Nie widzieliśmy go od wczoraj — odpowiedzieliśmy chórem.

— A więc to prawda, on zginął! — zawołała Ala, robiąc minkę, która poprzedza płacz.

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Noel i H. O. zapomnieli o halmie, Dora o pu- delku, Dick o statku, wobec wielkiego niepokoju, jaki nas ogarnął.

Psa naszego mamy od bardzo dawna. Służył nam wiernie, kiedyśmy byli jeszcze ubo- gimi poszukiwaczami skarbu, i dzielnie pomagał w niektórych przedsięwzięciach. Serca nasze strasznym ścisnęły się żalem i momentalnie zapomnieliśmy o walnej naradzie.

— Musimy odszukać naszego Rexa. Pójdziemy po niego na koniec świata — mówiła Ala tonąc w łzach — a może go spotkało jakieś nieszczęście. Doro, przynieś także mój płaszcz i kapelusz. Oj-oj-oj! Oj-oj-oj!

Wzięliśmy na siebie okrycia. Ala tak beczała, że Oswald był zmuszony powiedzieć jej, że jeśli natychmiast nie przestanie, to zostawią ją w domu.

— Chodźmy na wzgórze — proponował Noel. — On chodził tam bardzo często i kopał ziemię.

Poszliśmy w tym kierunku. Każdego spotkanego przechodnia zatrzymywaliśmy, za- dając następujące pytanie:

— Czy nie widział pan (lub pani) pięknego foksteriera z czarną łatą na jednym oku i drugą taką samą na plecach oraz pręgą pod prawą łopatką?

Każdy mówił, że nie, tylko niektórzy odpowiadali grzecznie, a inni mrucze- li coś pod nosem.

Wreszcie spotkaliśmy policjanta, ten nam rzeki:

— Będąc wczoraj na służbie, widziałem na przeciwległym końcu ulicy takiego psa. Jakiś chłopak ciągnął go przemocą, a pies bardzo się opierał. Zdaje się, że chłopak z psem poszedł w kierunku Greenwich.

Humory nam się nieco poprawiły.

— A czemu pan pozwolił, ażeby ktoś ciągnął psa przemocą? — zapytaliśmy policjanta.

— Nie mogę wtrącać się do nie swoich spraw.

Poszliśmy dalej, pytając wszystkich mijających nas ludzi, czy nie widzieli pięknego foksteriera, z czarną łatą na jednym oku itd. Kilka osób powtórzyło nam to, co mówił policjant, to jest, że widzieli psa prowadzonego na smyczy.

Przeszliśmy przez park, obok warsztatów naprawczych, nie zatrzymując się nawet przy oknach, przez które widać piękne motorówki. Tym razem mijaliśmy obojętnie wystawy

sklepowe ze znaczkami pocztowymi, z gramofonami i z wypchanymi zwierzętami. Nic nie istniało dla nas poza Rexem, który z każdą chwilą stawał się miłszy i droższy naszym sercom!

Idąc ciągle przed siebie, przywędrowaliśmy nad brzeg rzeki. Siedział tam jakiś rybak z zamkniętymi oczami. Zdaje mi się, że podchodząc do niego, przebudziliśmy go, bo kłął w sposób niemiłosierny. Już Oswald prosił dziewczęta, aby odeszły, lecz Ala przybliżyła się do rybaka i rzekła swoim słodkim głosem:

— Niech się pan nie gniewa i powie, czy nie widział pan naszego psa. Ma czarną łatę itd. — opisywała wygląd Rexa.

— A jakże, widziałem — odparł rybak. — Temu pół godziny Chińczyk wiozł go na tamten brzeg. Lecz nie szukajcie tego Chińczyka — mówił rybak, śmiejąc się nieprzyjemnie — bo Chińczycy bardzo lubią potrawkę dziecięcą z ryżem...

Dobrze wiemy, że Chińczycy nie są ludożercami, i wstrętny rybak nie zdołał nastraszyć nikogo z Bastablów. Złękliśmy się o losy naszego Rexa, gdyż wiemy i to, że Chińczycy jadają psy, szczury, gniazda jaskółcze i inne zamorskie frykasy.

H. O. był bardzo zmęczony, mówił, że go uwierają buciki. Noel wyglądał strasznie mizernie. Reszta była również znużona, ale nikt by się do tego nie przyznał. Poszliśmy więc dalej ku przystani, ażeby wynająć łódź, która by nas przewiozła na tamtą stronę rzeki. Przez pomost dostaliśmy się do domku zbudowanego na łodzi. Znajdował się tam starszy rybak i jakiś chłopak. Skoro zaproponowaliśmy mu, by nas przewiózł na tamten brzeg, rzucił na nas podejrzliwe spojrzenie i zapytał:

— A dokąd to się wybieracie?

— Tam, gdzie mieszkają Chińczycy.

— A czy ja wiem, gdzie oni mieszkają... pewno w Chinach.

Następnie wyraził powątpiewanie, czy mamy pieniądze na opłacenie nawet bliższej podróży. Na szczęście Dick i Oswald zabrali z sobą tygodniówkę oraz kapitały, które dostali od ojca po wyjeździe Archibalda. Wyjęli więc garść monet. Dźwięk pieniędzy wywołał należyte wrażenie. Rybak schował je do woreczka, a chłopak zaprowadził nas do dużej łodzi i pomógł dziewczętom wsiąść.

Woda była nadzwyczaj wzburzona i falowała jak prawdziwe morze. Chcieliśmy ująć wiosła, lecz przewoźnik sprzeciwił się temu, mówiąc, że nas wiezie „na swoją odpowiedzialność”.

W połowie drogi Noel chwycił Alę za rękaw.

— Czy ja wyglądam jak cytryna?

— O, tak, nawet jak bardzo żółta cytryna.

— Wierź mi, Alu, że czuję się jeszcze gorzej, niż wyglądam — rzekł Noel i zrobiło mu się całkiem niedobrze.

Mimo to podróż była wyjątkowo interesująca. Zwłaszcza Oswald i Dick wynieśli z niej dużo wrażeń. Rozmaitość łodzi, statków, żaglowców, motorówek wyglądała tak zachęcająco, że postanowiliśmy bezwzględnie zostać korsarzami, i to natychmiast po ukończeniu szkół.

— Oswaldzie — rzekła Ala — obawiam się, że jeżeli nie wylądujemy natychmiast, Noel umrze.

Biedaczek wyglądał okropnie i czuł się strasznie.

Przybiliśmy wreszcie do lądu. Po wąskich stopniach dostaliśmy się na brzeg, lecz Noel był tak chory, że w żaden sposób nie mógł się udać na poszukiwanie Chińczyka i Rexa. H. O. przemoczył sobie obuwie, więc musiał je zdjąć i suszyć (H. O. miewa zawsze tego rodzaju przygody). Postanowiliśmy zatem zostawić ich na jakimś suchym miejscu.

— Ja ich samych nie zostawię — powiedziała Dora. — A może wrócimy do domu? Jestem przekonana, że tatuś będzie się bardzo gniewał, żeśmy przyjechali do tej dzikiej okolicy. Policja powinna się zająć odnalezieniem psa.

Lecz żadne nie miało zamiaru wracać do domu, zwłaszcza że Dora wzięła z sobą wielką pakę biszkoptów, którymi raczyli się teraz wszyscy, prócz Noela.

— Wątpię, czy policja zajęłaby się tak gorliwie cudzym psem! — zawołał Dick. — Doro, zostań z dziećmi! Macie tu moje palto i nakryjcie się nim. Mnie jest gorąco.

Oswald poszedł za przykładem Dicka, chociaż i jemu nie było gorąco... Zostawili okrycia i ruszyli w drogę razem z Alą.

Po wąskich stopniach wydostali się na jakąś uliczkę. Dziwna to była uliczka i dziwne miejsce. Domki, ścieżki, mieszkańcy, niebo i ziemia, wszystko to miało dziwny, smutny, szarobrunatny kolor.

Wszystkie drzwi z mieszkań były rozwarte na oścież i wnętrza wydawały się tak samo szarobrunatne.

Kobiety w fioletowych, granatowych i czerwonych chustkach siedziały na stopniach i czesały dzieci, rozmawiając z sobą przez ulicę. Były bardzo zdziwione pojawieniem się trojga podróżników i czyniły na głos uwagi, niekoniecznie przychylnie. Gdy jednak zwracaliśmy się do nich z zapytaniem, czy nie widziały Chińczyka prowadzącego Rexa, odpowiadały zupełnie grzecznie i uprzejmie.

Więc pytaliśmy, idąc od domu do domu, czy nikt nie widział psa z czarną łatą itd. Albo przynajmniej Chińczyka. Ale daremnie. Zniechęceni i zgłodniaли mieliśmy wrócić do domu i losy Rexa powierzyć policji, gdy zakręcając w którąś boczną ulicę, wpadliśmy na jakąś kobietę.

Jak żyję, nie widziałem tak grubej kobiety! Musiała mieć kilka metrów obwodu. Minę miała strasznie groźną! Lecz nim zdążyła otworzyć usta, Ala rzekła:

— Bardzo panią przepraszamy. Czyśmy pani nie uderzyli niechcący? Czy panią coś zabolalo?

Ujrzelismy, jak złość zaczęła ustępować jej z twarzy. Jak tylko odsapnęła, powiedziała:

— Nic mi się nie stało, moja śliczna panienko. Ale dokąd to biegniecie z takim pośpiechem?

Więc opowiedzieliśmy jej wszystko od początku. Była szalenie sympatyczna, chociaż taka gruba. Radziła nam, żebyśmy byli bardzo ostrożni.

— Uważajcie — mówiła — bo możecie spotkać jakichś oberwańców, którzy wam ściagną kurtki. Idźcie najpierw na lewo, potem na prawo, a później wprost. Dojdziecie do ogrodu róż. W tamtych okolicach kręcą się Chińczycy. Wróćcie tą samą drogą, będę na was czekać i przepytam się tymczasem chłopców, czy nie widzieli psa.

— Bardzo pani dziękujemy — powiedziała Ala i dygnęła.

Lecz gruba pani zażądała od Ali, by ją pocałowała.

Szliśmy przez pustawe ulice, coraz smutniejsze i odludniejsze, aż znaleźliśmy się obok drewnianego parkanu. Cicho tu było, spokojnie... Nagle usłyszeliśmy wyraźny tupot.

Oswald zwrócił się do Ali i Dicka:

— A może to ten, kto ukradł Rexa, poznał nas i chce go uprowadzić. Biegnijmy za nim.

Jednym susem znaleźliśmy się po drugiej stronie płotu. Opodał ujrzelismy kilku wyrostków stojących dokoła czegoś niebieskiego. Na szarobrunatnym tle kolor niebieski uderzył nas odmiennością i świeżością. Zbliżyliśmy się. Tym „niebieskim” był bardzo stary, pomarszczony człowiek, w małej miękkiej czapce i szerokiej błękitnej bluzie, która mu spływała do kolan. Nie potrzebuję chyba dodawać, że był to właśnie Chińczyk przez nas poszukiwany.

Znajdował się w bardzo smutnym położeniu, otaczający go chłopcy dokuczali mu, używając tak nieprzyzwoitych wyrażeń, że przykro nam było, iż Ala to słyszy (potem Ala mówiła nam, że nawet nie zwróciła uwagi na wymyślanie uliczników).

— Zerwijcie mu tę mykę z głowy! — dyrygował jeden z chłopaków.

Biedny staruszek starał się obronić przed wyciągającymi się do niego natarczywie rękami, lecz nie mógł sobie poradzić. Drżał biedaczysko i trząsł się ze strachu.

Oswald i Dick wdzięczni są ojcu, że ich nauczył boks. Gdyby nie to, nie wiadomo czym by się skończyło wystąpienie dwóch przeciw pięciu, zwłaszcza że nikt się nie spodziewał tego, czego dokonała Ala.

Bo zanim Oswald przybrał pozycję zaczepną, Ala największemu z chłopców wymierzyła policzek („policzki” Ali znane są w rodzinie), drugiemu, który zamierzał się na Chińczyka, dała szturchańca w bok, trzeciego zadrapała w szyję i tym dała hasło do walki.

Oswald i Dick nie tracili przytomności ani na chwilę, zadając ostre razy przeciwnikom. Przyznać należy, że niemałe zasługi położyła Ala, która dobrze wymierzonym klapsem lub uszczypnięciem przechylała szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Walka

Autor, rzecz oczywista, wie doskonale, iż nie wypada, by dziewczynka brała udział w bóje ulicznej, ale... ale nie można o tym myśleć w takiej chwili.

Walka była zacięta. Stary Chińczyk stał oparty o parkan, drżącymi rękami trzymając się za serce. Oswald rzucił na ziemię najsilniejszego chłopca, Ala szczypała i kopała dwóch innych, Dick starał się powalić czwartego i bronił się jednocześnie przed piątym, gdy nagle zjawił się jeszcze jeden Chińczyk.

Na szczęście był młody i silny. Kilkoma zwinnymi, chociaż niekoniecznie europejskimi pchnięciami dokończył dzieła, tak pięknie rozpoczętego przez dzielnych Bastablów (zjawił się w porę!). Po chwili wrogowie nasi poczęli się cofać w rozsypce, aż zniknęli z horyzontu.

Oswald i Dick odetchnęli z ulgą i zaczęli sprawdzać ilość sińców i potłuczeń. Natomiast Ala wybuchnęła głośnym płaczem. To właśnie jest najgorsze z tymi dziewczętami! Wszystko się u nich kończy fontanną łez. Bywają dzielne i odważne jak chłopcy, ale naraz wszystko zepsują takim głupim, bezsensownym mazgajstwem. Nie mam jednak zamiaru oskarżać Ali. Wszak ona mocnym policzkiem dała hasło do walki i wyszła z niej mocno podrapana.

Obaj Chińczycy zaczęli rozmawiać z sobą. Mówili po chińsku, nic nie rozumieliśmy. Słyszałem, jak co chwila powtarzali „hung”, „li” i „ki”, po czym młody Chińczyk rzekł:

— Słodka, piękna panienko, cudny kwiecie różany! Połóż się na ziemi, ażebyś mogła stąpać po mojej głowie. To jest mój ojciec. Wstrętne białe diablątka chciały mu dokuczyć. Wyście obronili mojego ojca, kocham was za to bardzo i jestem wdzięczny z całego serca.

Ala płakała zbyt gorzko, ażeby móc zaraz odpowiedzieć, zwłaszcza że nie mogła znaleźć chustki do nosa. Dałem jej moją własną i dopiero wtedy zdołała wykrztusić, że nie chce stąpać po żadnej głowie, tylko pragnie powrócić do domu.

— To nie jest dobre miejsce dla białej lilijki, ślicznej panienki — zapewniał nas młody Chińczyk. Miał bardzo piękny, czarny warkocz, zakończony czarną wstążką.

— My was zabierzemy z sobą, do bezpiecznego miejsca — tłumaczył nam młody Chińczyk słowa ojcowskie — tutaj by was złapały białe diablątka i pobiły. Chodźcie! Nie płacz, biała lilijko! Pójdziesz z nami i ja ci dam coś pięknego. Mama moja ugości was.

Zgodziliśmy się na odwiedzenie pani Chinki, zwłaszcza że powrót tą samą drogą, którą dostaliśmy się tutaj, był niebezpieczny, gdyż pokonani przez nas ulicznicy na pewno czekali z wzmocnionymi siłami. Ala przestała płakać i poszliśmy z naszymi nowymi przyjaciółmi.

Szliśmy gęsiego, tak jak wtedy gdy się bawimy w Indian. Prowadził nas stary Chińczyk, a młody zamykał pochód. Minęliśmy kilkanaście uliczek i zatrzymaliśmy się przed bramą. Stary Chińczyk wprowadził nas do sieni. Wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi. Znaleźliśmy się w niewielkim, wyjątkowo brudnym pokoju. Stała w nim niska sofa, pokryta zaplamionym pluszem. Oprócz kanapy były niziutkie stoliki, które przypominały pudełka. Na stolikach leżały różne graty, przeważnie połamane fajki, grzebienie, talerze, filiżanki, jakieś sprzączki z kości słoniowej. Rozchodziła się niemiła woń kleju. Wywnioskowaliśmy, że stary Chińczyk trudnił się reperowaniem fajek oraz klejeniem innych uszkodzonych przedmiotów.

Po chwili do pokoju weszła jakaś Chinka. Nosila zielonkawę szarawary i błękitną bluzę. Włosy miała zaczesane do góry. Chciała się położyć na podłodze przed Alą, lecz nie dopuściliśmy do tego.

Powiedziała do nas bardzo wiele słów, których nie rozumieliśmy, niestety. Sądząc z intonacji, były to wyrazy wdzięczności i sympatii.

Młody Chińczyk tłumaczył nam, że pragnie, by Ala stanęła na głowie (nie swojej własnej, ale jego matki).

Niestety, zbyt krótko bawiliśmy w tym gościnnym domu, ażeby poznać język lub co najmniej obyczaje. Fakt faktem, że nasi nowi przyjaciele wyprawiali z nami „chińskie ceregiele”, a myśmy starali się zachowywać godnie i uprzejmie, co się nam w zupełności udawało. W końcu Oswald zadecydował, że czas wracać do domu.

Chińczycy spojrzeli na siebie porozumiewawczo; Chinka opuściła pokój i wróciła po chwili, niosąc piękną papugę, czerwoną na grzbiecie, zieloną na podgardlu. Ofiarowała ją Ali. Zaczęły się bardzo czule i serdeczne pożegnania. Dzisiaj, gdy cała ta przygoda wydaje mi się nieprawdopodobnie pięknym snem, zły jestem, żeśmy się tak śpieszyli...

Młody Chińczyk odprowadził nas na brzeg, życząc nam wiele szczęścia i zdrowia. Dora, Noel i H. O. znajdowali się w opłakanym stanie. Byli przemarznięci i niespokojni, co się z nami stało. Skoro jednak ujrzeni papugę i usłyszeli o naszej walce ulicznej, przyznali, że niepodobna było inaczej postąpić.

Dora rzekła:

— Wiem, że macie mi za złe, że zawsze prawię morały, ale wątpię, czy tatuś będzie zachwycony, gdy się dowie, że Ala brała udział w bójce z ulicznikami.

— A ty byś pewno uciekła i pozwoliła, ażeby ulicznicy nabili staruszka — odpowiedział Dick. Kłótnia trwała dosyć długo.

Dojechaliśmy tramwajem na stację, a ze stacji wzięliśmy dorożkę do domu. Nasza gospodyni, panna Black, zrobiła nam straszną awanturę. Nigdy jej nie widziałem w takim humorze. Tak była o nas niespokojna, że dała znać na policję. (Policja nie natrafiła na nasze ślady). Oswaldowi, jako najstarszemu, dostało się największe wymyślanie. Nawet nie miał siły sprzeczać się — był nieludzko zmęczony.

A kiedy burza ustała, zasiedliśmy do wieczerzy i zaczęliśmy się na dobre objadać. Wielki spacer zaostriżył nam apetyty. Biadaliśmy bezustannie, czemu nie ma tu z nami Rexa, który tak lubi ogryzki i kostki.

Papuga spacerowała po stole, tam i z powrotem, dziobiąc jabłka.

Właśnie Ala zaczęła mówić, jak to od jutra rana zabierzemy się do ponownych poszukiwań naszego drogiego, wiernego psa, gdy usłyszeliśmy charakterystyczne drapanie do drzwi. Zerwaliśmy się z pośpiechem i ujrzelśmy — Rexa w najlepszym zdrowiu i humorze.

H. O. zarumienił się po same uszy.

— Ach! — szepnął.

— Co takiego? — zawołaliśmy. — Mów!

I chociaż pragnął tajemnicę swoją skryć na dnie serca, zmusiliśmy go do powiedzenia prawdy. Otóż poprzedniego dnia, bawiąc się w ogród zoologiczny, zamknął Rexa w klatce po królikach i potem zapomniał go wypuścić.

A więc cała nasza podróż do Chin okazała się niepotrzebna. Wprawdzie Oswaldowi żał Rexa, który całą dobę spędził w więzieniu, ale nie żał mu wycieczki. Rad jest z tej całej przygody i papugi. Ala powiedziała, że papuga nie jest jej wyłączną własnością, ale należy także do Oswalda i Dicka. Z Ali jest bardzo porządny człowiek. Dziwię się często, że jest dziewczyną, a nie chłopcem...

IV. ZŁOTA ŁÓDŹ

Wuj Alberta jest niezmiernie mądry i pisze przepiękne książki.

Przeżyliśmy z nim dużo miłych chwil i uważamy go za naszego najlepszego przyjaciela. Wspominamy go często. Obecnie od dłuższego czasu bawi w Rzymie ze swoją młodą małżonką, dokąd zamierzał towarzyszyć mu H. O. (wiecie, jak niefortunna była wyprawa młodocianego cyrkowca).

W rozmowach naszych często mówimy o wuju Alberta.

Któregoś dnia oddawaliśmy się z wielką namiętnością ulubionej grze w chowanego po całym domu. Zabawę tę nazywamy „diabłem w mrokach” i bawimy się w nią tylko pod nieobecność wujka i tatusia, gdyż panowie ogromnie się denerwują, kiedy nagle i nieoczekiwanie ktoś w ciemnym pokoju zahuczy nad głową: „mam cię!” Dziewczeta też niechętnie bawią się w chowanego i uważają to za pewne poświęcenie, jak gdyby nie było poświęceniem z naszej strony branie udziału w obiadach lalek.

Kiedy zabawa się skończyła, a my, dysząc ciężko, odpoczywaliśmy przy kominku, H. O. rzekł:

— Żałuję, że nie ma tutaj wuja Alberta, on tak lubi bawić się w „diabła w mrokach”.

— Ciekaw jestem, czy bawią się w to w Rzymie — ciągnął H. O. — Sądząc z pocztówki, przedstawiającej ruiny, muszą tam być doskonałe miejsca na chowanego.

— Wątpię, czy można się dobrze bawić we dwoje — rzekł Dick.

Zabawa

— Zresztą — dodała Dora — gdy ludzie są w podróży poślubnej, to siedzą całymi dniami na balkonie i patrzą na księżyc albo sobie w oczy.

— Po co patrzą sobie w oczy? — zdziwił się Dick.

— Ażeby potem pisać o nich poematy — zapewnił Noel.

— Wątpię, czy ona potrafi pisać do rymu — przerwała Ala — przypuszczam raczej, że czytają na głos te piękne poezje, które podarowaliśmy im na prezent ślubny.

— Wiecie, co wam powiem — rzekł Oswald (oczywiście nikt nie wiedział) — ja osobiście nie jestem zadowolony z tego upominku. Było to wprawdzie bardzo ładnie ze strony tatusia, że kupił taki piękny prezent w naszym imieniu, ale wolałbym, żebyśmy sami wybrali i zapłacili.

— Ja bym też pragnął uczynić coś dla wuja Alberta — rzekł Noel. — Gdyby na przykład żona wuja Alberta zmieniła się w zaczarowaną królową, której pilnuje straszny smok, zabiłbym chętnie tego smoka i oddał wujowi królową.

— Podzielał twoje zdanie — powiedział Dick — zamiast uczynić coś prawdziwie przyjacielskiego, podarowaliśmy mu tylko głupią książkę. Lecz żał spóźniony, bo póki ona żyć będzie, wuj Alberta powtórnie się nie ożeni, a my nie będziemy mieli sposobności obdarować go znowu.

Ale jak mówi przysłowie, „o wilku mowa, a wilk tu”. Właśnie gdyśmy mówili o wuju, zjawił się listonosz z całym stosiem listów do wuja, tatusia i jednym zaadresowanym do „Młodych Bastablów”. Marka¹³ była włoska, pieczętka z Rzymu.

List od wuja Alberta był taki miły i serdeczny! Czytając, mieliśmy wrażenie, że gawędzimy z nim.

„Drogie dzieciaki” zaczął, potem szedł szereg opisów rzeczy, które widział, oraz całe mnóstwo zdarzeń i przygód podróży.

A kończył się list tymi słowy:

Przypominacie sobie ten rozdział „Złotej łodzi”, który napisałem dla „Tygodnika”, zanim miałem szczęście i zaszczyt poprowadzić do ołtarza itd. Mam na myśli ten wysoce dramatyczny opis porwania Geraldiny przez trzech łotrów. Pamiętacie — ona stoi z rozwianymi włosami, beznadziejnie smutna i gotowa na śmierć, a oni... Ja osobiście nie byłem zachwycony tym rozdziałem (zdaje mi się, że pisząc go, myślałem zgoła o czymś innym), ale wyście mi nie szczędzili słów uznania. Nawet Oswald jedną z scen nazwał rozdzierającą...

Drodzy przyjaciele, będziecie wraz ze mną gorzkie wylewać łzy, gdy się dowiecie, że redaktor mój jest odmiennego zdania. Pisał do mnie, że rozdział ten nie stoi na wysokości poprzednich. Obawia się, że publiczność będzie rozczarowana itd. I ma nadzieję, że następny rozdział zdoła zatrzeć przykre wrażenie itp.

Cóż wy na to, drodzy przyjaciele? Miejmy nadzieję, że czytelnicy będą waszego zdania, a nie redaktora i sympatycznie się odniosą do mojego dzieła, to jest do wszystkich rozdziałów „Złotej łodzi”.

Nowa ciotka Alberta opiera się o moje ramię i utrudnia mi pisanie. Nie mogą jej odzwyczaić od tego.

Kończę list serdecznymi całusami od

Wuja i Ciotki Alberta

— A teraz — zawołał Oswald z rozpromienioną twarzą — mam już wszystko! Zdziwione rodzeństwo wytrzeszczyło oczy, więc Oswald ją cierpliwie tłumaczył.

— Jest to zrządzenie losu. On pragnie, więc też mieć będzie.

— Co takiego? Co takiego mieć będzie? — pytał każdy.

— Sympatycznych czytelników i przychylną publiczność...

A oni w dalszym ciągu nie rozumieli rzeczy tak jasnych i prostych dla Oswalda.

— Będzie z tego większy pożytek niż z uśmiercania smoków, które nigdy nie istniały; będzie to prawdziwy ślubny prezent, taki, jaki pragnęliśmy mu ofiarować.

¹³marka (daw.) — znaczek pocztowy.

Zniecierpliwione rodzeństwo rzuciło się na Oswalda, powaliło go na ziemię, wpełzło pod stół i siadło na nim, pragnąc w ten sposób przynaglić go do udzielenia wyjaśnień.

— Powiem wam, powiem, ale puście mnie! — Oswald zaczął się wraz z nimi prze-walać. Przy tej okazji H. O. zaczął butami o serwetę i pociągnął ją na podłogę łącznie z kałamarzem, kajetami i ręczną robótką Dory.

— A więc powiem wam... My będziemy publicznością, my będziemy czytelnikami, my napiszemy do redaktora, co myślimy o rozdziale, w którym jest mowa o Geraldinie.

— Czy sądzisz — odpowiedziała Dora, doprowadzając pokój do jakiegoś takiego ładu — że sześć listów pochodzących od rodziny Bastablów nie będzie wyglądało trochę... trochę...

— Trochę głupio — dokończyła Ala. — Przecież możemy wysłać listy, każdy pod innym nazwiskiem.

— Możemy nawet napisać po kilka listów — rzekł Dick.

— I wysłać je z rozmaitych dzielnic Londynu — dodał Oswald.

— Ja napiszę wiersz, i to taki, jakiego dotąd nigdy nie napisałem! — zawołał Noel.

— Musimy też mieć różne gatunki papieru — uzupełnił Oswald — chodźmy więc na miasto po zakupy.

Poszliśmy, ale dostaliśmy tylko piętnaście gatunków arkuszy i kopert, chociaż byliśmy we wszystkich sklepach.

Gdy w pierwszym sklepie zażądaliśmy po arkuszu i kopercie we wszystkich formatach i kolorach, jakie są, sprzedająca spojrzała na nas spoza niebieskich okularów i zapytała:

— A na co?

H. O. pośpieszył z odpowiedzią:

— Ażeby pisać listy anonimowe.

— Listy anonimowe! To bardzo brzydka rzecz — odpowiedziała surowym tonem i nie chciała nam sprzedać ani jednego arkusza.

W następnych sklepach nie zwierzaliśmy się z naszych zamiarów i sprzedawano nam papier. Szary, niebieski, różowy, lila, zielony, żółty, na niektórych arkuszach były nawet kwiatki i ptaszki! Dziewczęta wzięły papier w kwiatki i ptaszki, bo zdaje się, że mężczyznom nie przystoi pisać na takim papierze.

Napisaliśmy piętnaście listów, zmieniając według możliwości charakter pisma. A to nie było łatwe zadanie! Oswald napisał jeden list lewą ręką, ale wyszedł zupełnie nieczytelnie. Gdyby nawet ktoś zdołał list ten odcyfrować, musiałby przypuszczać, że pochodzi z domu wariatów, bo litery były obłąkane. Tę listu nie wysłaliśmy wcale.

Noelowi wolno było napisać tylko jeden, wierszem.

O Geraldino! Geraldino!

Słodka romansu heroino.

Tyś ukochaniem moim pierwszym,

Dla ciebie pisać będę wierszem.

Weneckie twoje czarne oczy

I ten uśmieszek tak uroczy.

Ja bezustannie śnię i marzę.

O nosie, co z buzią idzie w parze...

W innych listach pisaliśmy, jak piękny jest rozdział pod tytułem „W pałacu dożów”, jak wzniosły, interesujący, o ile lepszy od poprzednich i że mamy nadzieję, że następne rozdziały będą takie same.

Ażeby upiększyć styl, przeczytaliśmy w „Tygodniku” oraz innych gazetach recenzje z książek i staraliśmy się używać tych samych określeń; pisaliśmy więc, że rozdział o Geraldinie i opryskach jest „arcydziełem”, „subtelną igraszką słów”, że posiada „czar minionych dni”, „tętni życiem i humorem”, że „czyta się z zapartym oddechem”, że „posiada przedziwny wdzięk” oraz „tragizm, sięgający do krwawiącego serca”, że jest „kwiatem słodkich marzeń” i bardzo wiele podobnych idiotyzmów, których autor nie przypomina sobie.

Po napisaniu, zapieczętowaniu i opatrzeniu znaczkiem pocztowym wszystkich listów nadeszła kolej na ich wysłanie. Trzeba było to bardzo sprytnie urządzić.

Poprosiliśmy ogrodnika, który mieszkał w Lewisham, ażeby wysłał stamtąd jeden list, piekarzowi z Greenwich daliśmy także jeden. Naszym służącym, jadącym w świątę do Londynu, powierzyliśmy resztę listów z prośbą, ażeby je wrzucili w rozmaitych dzielnicach.

Czekaliśmy przez tydzień na odpowiedź, ale daremnie. Żadna odpowiedź nie nadeszła.

Posądzacie nas może o taką głupotę, że podawszy zmyślane przez nas nazwiska, jak Małgorzata Dolman, Gertruda Bustler, Ewaryst hrabia Maur, sir Filemon Majoridura, kapitan Łamigłowa, minister Trombini, i nieprawdziwe adresy, jak Aleja Westchnień nr 7, ulica Słoneczna, plac Turecki, czekaliśmy odpowiedzi!

Nie jesteśmy tacy głupi, jak sobie to wyobrażacie, mili czytelnicy!

Napisaliśmy jeden list (najdłuższy, naszpikowany zdaniami z gazet) na naszym własnym papierze listowym, z adresem na wierzchu i inicjałami wuja. Pod listem Oswald położył swój własny, bardzo czytelny podpis. Rozumiecie?

Lecz odpowiedź nie nadeszła. Aczkolwiek uczyniliśmy już wiele dla wuja Alberta, ale pragnęliśmy też wiedzieć, czy słowa uznania, sympatii i zachwyty dla jego utworu wywarły należyte wrażenie na redaktorze.

Po dwóch tygodniach Oswald rzekł do swojego rodzeństwa:

— To jest nie do zniesienia. Napiszę do redaktora z zapytaniem, czemu nam nie odpowiada.

— Nie odpisał na pierwszy list, więc pewno na drugi także nie odpowie — odparł Noel — przecież go nikt nie zmusi.

— Czemu nie mielibyśmy udać się do niego osobiście — powiedział H. O. — Będzie musiał nam odpowiedzieć, gdy staniemy przed nim i spojrzymy okiem w oko.

— Wątpię, czy zechce mówić z tobą — zauważyła Dora — a poza tym nie mówi się „okiem w oko”, ale oko w oko.

— Pamiętacie — przypomniał Noel — jak tamten redaktor nas przyjął i nawet dał mi gwineę za mój utwór?

— Ale u poety wiek nie gra żadnej roli — powiedział po namyśle Oswald — najmłodszy poeta może sprzedawać swój poemat. Natomiast my jesteśmy inteligentnymi czytelnikami. Jestem przekonany, że redaktor „Tygodnika” wyobraża sobie, że tylko dorośli mogą być „inteligentnymi czytelnikami”. Sądzę, że Dora w sukni panny Black mogłaby wyglądać na dorosłą czytelniczkę.

Dora spojrzała na mnie z przerażeniem i powiedziała, że za nic w świecie nie przebrałaby się na dorosłą i nie pojechałaby do redaktora.

— W takim razie ja się przebiorę! — postanowiła Ala. — Ja się nie boję. Stawiam jeden warunek: Oswald także się przebierze za dorosłego. Możesz się zdobyć na to poświęcenie, wszak idzie o wuja Alberta.

— A mnie się zdaje, że robicie to dla własnej zabawy — rzekła Dora.

Doprawdy Dora jest czasem niezdolna, powiedziałbym nawet — niezdolnie rozsądna. Ale dajmy jej pokój.

Postanowiliśmy, że nazajutrz, po odrobieniu lekcji, udamy się do redaktora „Tygodnika”. Dzisiaj mieliśmy postarać się o brodę i siwe wąsy, gdyż byliśmy przekonani, że pod brodą zginą młodzieńcze usta Oswalda, a długie wąsy nadadzą mu wyraz inteligentnego i dojrzałego czytelnika.

Dziewczęta zrobiły tajemniczą wyprawę do pokoju panny Black i przyniosły odświętne ubrania.

Zrobiliśmy generalną próbę.

Dora zebrała loki Ali w węzeł, przypięła do nich wspaniałe warkocz, także własność panny Black, i potem upięła nisko na tyle głowy. Na to włożyła kapelusz o niezmiernie wesółch barwach. Na samym szczycie kapelusza chwiały się ogromny ptak, szara mewa. Wiele halek wchodziło w skład tej toalety, jakaś brązowa suknia, mocno wypchany żakiet, lakierki na wysokich obcasach. Kołnierz futrzany był dopełnieniem elegancji. Ala przedstawiała się całkiem godnie.

Oswald poszedł cichaczem do swego pokoju i wrócił w przebraniu. Gdy zjawił się z brodą i w kapeluszu ojca, dzieci miast z uszanowaniem przywitać głowę rodziny — jęły

Przebranie

pokładać się ze śmiechu. Oswald spojrział w lustro i sam zaczął się śmiać. Wprawdzie jest bardzo wysoki, ale z przypiętą brodą wyglądał na karła, kapelusz wpadał mu na nos. Wąsy długie i opuszczone czyniły wrażenie, jak gdyby zostały przeszczepione z kogoś innego. A wszystko razem, pozał się Boże, czyniło z Oswalda dziwną figurę.

Dziewczęta wpadły na nowy pomysł. Oczywiście ten pomysł nie mógł spodobać się Oswaldowi i trwało dobrą chwilę, zanim się zgodził, ale wytłumaczono mu, że idzie o szczęście wuja Alberta i że może się zdobyć na takie poświęcenie.

Uradzono, by Oswald także przebrał się za damę i razem z Alą pojechał do redaktora. Żaden mężczyzna nie pragnie uchodzić za kobietę! A Oswald musiał się zgodzić. Nie macie wyobrażenia, co to za trudna rzecz nosić suknie, spódnice, staniki, które przylegają, obcierają i wpijają się w pasie! Czemu kobiety nie zbuntują się przeciw tym strojom?

Najwięcej kłopotu było z głową Oswalda. Nie mogliśmy znaleźć drugiego warkocza, a gdyby nawet był, to jakże go przypiąć do ostrzyżonych włosów?

Dziewczęta przypomniały sobie, że miały kiedyś nauczycielkę, która również nie posiadała długich włosów, więc na głowę wkładała głęboki kapelusz, przymocowany do tyłu głowy gumką.

Tak też ubrano Oswalda.

Przebieranie się na próbę było dosyć zabawne, ale następnego dnia trzeba było wiele odwagi i zaparcia się siebie, by w całym tym przebraniu opuścić dom.

— Nie takie poświęcenia czynili starożytni bohaterowie — mówiła Ala. — Odwagi, drogi Oswaldzie, odwagi.

— Jestem odważny, tylko mam uczucie, jak gdybym był małpą — odparł Oswald.

— I mnie jest dosyć głupio — dodała Ala. — Wzięłam z sobą miętówki, podobno uspokajają nerwy.

Janka, która jak zwykle, była z nami w zмовie, pomogła nam opuścić dom w sekrecie. Reszta rodzeństwa towarzyszyła w swojej naturalnej postaci. Otoczyli nas zwartym kołem i odprowadzili na stację.

Już w pociągu jakieś dwie panie nie spuszczały z nas zdumionych oczu, a tragarze oraz inni ludzie coraz to podchodzili do przedziału, zaglądali przez uchylone drzwi i uśmiechali się dziko.

Najprawdopodobniej zawiniły buty Oswalda. Wprawdzie pożyczył sobie od Janki bardzo eleganckie pantofelki, ale w ostatniej chwili zapomniał je włożyć i teraz wielkie sportowe buciorzy wyglądały bardzo nieładnie spod damskiej sukni. Uszy czerwieniły mu się coraz bardziej i paliły! Nie wiedział, co począć z rękami i nogami. Stracił humor i odwagę, a miętówki nie działały uspokajająco.

W takim stanie zdenerwowania nie mogliśmy pójść pieszo z dworca do redakcji. Wsiadliśmy do dorożki bardzo zgrabnie. Ale wymiana spojrzeń między dorożkarzem a jego kolegami tak zirytowała Oswalda, że nie bacząc na rolę wytwornej damy, jaką miał odegrać, nawymyślał dorożkarzowi od durniów i idiotów. Dorożkarz wzruszył ramionami, kazał sobie z góry zapłacić i ruszył z miejsca. W milczeniu zajechaliśmy przed dom redakcji. Oczekiwał nas Dick. Wziął z rąk Oswalda kartę, na której widniał starannie wykaligrafowany napis:

PANNA MAŁGORZATA DOLMAN

i

SZANOWNA PANI GERTRUDA BUSTLER

W SPRAWIE PILNEJ I NIE CIERPIĄCEJ ZWŁOKI

Oswald i Ala czekali w dorożce na powrót Dicka.

— W porządku — rzekł Dick ukazując się w bramie.

— Tylko bądźcie ostrożni z chłopakiem redakcyjnym; miałem wiele kłopotu, zanim mnie wpuścił.

Poszliśmy, stąpając cicho jak myszy. Redaktor był bardzo uprzejmy. Prosił, żebyśmy usiedli. Naturalnie Oswald siadając zaplątał się w suknie i o mało co nie wywrócił krzesła.

— Zdaje mi się, że panie były łaskawe i napisały już do mnie — rzekł redaktor.

Ala, która wyglądała strasznie z wypiekami na buzi i przekrzywionym kapeluszem, odpowiedziała, że tak i że nasz przyjazd do redaktora miał jedynie na celu powiedzenie mu, jak piękny jest rozdział o Geraldinie w pałacu dożów...

Ala zbyt pośpiesznie wyrzuciła z siebie tę wiadomość i nagle zamilkła. Oswald zbyt przejęty szczegółami toaletowymi nie odzywał się wcale. Gumka od kapelusza zaczęła mu się powoli zsuwać z tyłu głowy i bał się, że przy łada żywszym poruszeniu odskoczy w górę, a wtedy cały kapelusz wystrzeli jak z procy.

— Rzeczywiście — zwrócił się grzecznie redaktor — rozdział ten miał powodzenie, dziwne powodzenie. Otrzymałem nawet szesnaście listów, tak, moje panie, szesnaście listów, a wszystkie pełne zachwytu i uznania, pełne pochwał i uniesienia.

Mówiąc to, patrzył na buty Oswalda, który zapomniał ukryć je pod spódnicą. Teraz więc schował je pośpiesznie.

— To jest ładny rozdział — rzekła nieśmiało Ala.

— Tak by się zdawało — ciągnął redaktor — ale czternaście listów na szesnaście posiada ten sam stempel z Blackhead. Entuzjazm był czysto miejscowy.

Oswald bał się spojrzeć na Alę. Nie wiedział, jak przeniesie ten cios. Zdradzono nas, listy zostały wrzucone do skrzynki, która się znajduje na wprost naszego domu.

Ciężko było Oswaldowi na duszy, a ta gumka dokuczała strasznie.

— Jestem niezmiernie rad — mówił redaktor tym samym uprzejmym tonem — że widzę panie... Czy mogą mi panie powiedzieć, jak wielu jest spirytystów w Blackhead?

— Co takiego? — zapytała zdumiona Ala.

— Wróżek, wróżbitów, jednym słowem ludzi przepowiadających przyszłość.

— Nie wiem, ale czemu pan nas pyta o to? — rzekła Ala.

Redaktor przymrużył oczy i odpowiedział:

— Przypuszczam, że w Blackhead znajdują się ludzie, którzy poznali tajemnicę przyszłości — tu przerwał na chwilę — gdyż skądże inaczej szesnaście osób mogłoby znać rozdział „W pałacu dożów”, rozdział, który dotąd nie był drukowany. Dopiero w pierwszym majowym zeszycie ukaże się ten rozdział, a szesnaście osób w Blackhead podziwia subtelność, poezję, naturalność, wdzięk itp. tego rozdziału. Jak mi to pani wytłumaczy, panno Małgorzato Dolman?

— Ja nie jestem Małgorzatą Dolman, tylko panią Gertrudą Bustler — poprawiła Ala — zresztą ja nie jestem także Gertrudą Bustler... my w ogóle nie jesteśmy tym, na kogo wyglądamy.

— Zauważyłem to od początku rozmowy — rzekł uśmiechając się redaktor.

W tym momencie gumka zsunęła się ostatecznie z głowy Oswalda i kapelusz zleciał, tak jak to Oswald przewidział.

— Dzięki Bogu! — zawołał Oswald. — Koniec maskarady.

— Tak sądzę — rzekł redaktor — mam nadzieję, że następnym razem autor „Złotej łodzi” znajdzie sobie lepszych aktorów.

— On nas nie znalazł... — przerwała Ala z krzykiem — to myśmy sami chcieli... — i opowiedziała mu wszystko.

Na poparcie jej słów Oswald zdjął kilka staników i wyciągnął z kieszeni list wuja Alberta.

Ala była bardzo wymowna. Redaktor słuchał z uwagą jej słów, a potem śmiał się bez końca z naszego pomysłu i przebrania. Poradził Ali, żeby zdjęła warkocz i kapelusz. Ala usłuchała go skwapliwie.

— Czy nie ma pani dosyć swojej panińskiej kariery, panno Małgorzato Dolman? — zwrócił się do Oswalda.

A gdy Oswald westchnął miast odpowiedzieć, pomógł mu ściągnąć spódnicę i suknię, dał mu papier do zapakowania rzeczy i pożyczył swoje palto.

Porządny człowiek z tego redaktora.

Ani czas, który płynie wartkim potokiem, ani wiele, wiele przeżyć, którymi podzielię się z wami, nie są w stanie zatrzeć wrażeń, których doznawał Oswald w przyciasnym staniku i przydługiej sukni! W najlepszej zgodzie rozstaliśmy się z redaktorem. Widocznie napisał szczegółowy list do wuja Alberta, gdyż po dwóch tygodniach otrzymaliśmy list następującej treści:

Drogie Dzieciaki!

Sztuka musi płynąć wprost z serca i nikomu jej nie można narzucić. To samo ze sławą. Czy mogę was prosić, ażebyście zaniechali na przyszłość trą-

bienia o mojej sławie? Szanowna pani Gertruda wzbudziła wielką sympatię w sercu redaktora. Nie chcę się wydać niewdzięcznym — ale proszę was serdecznie: nie wtrącajcie się do cudzych spraw i pilnujcie własnych interesów.

Kochający Wuj Alberta

— On tak pisze, bo się nam nie udało — rzekła Ala — gdyby jednak redaktor był mniej spostrzegawczy i gdyby ten rozdział był już wydrukowany, to być może wuj Alberta zostałby najsławniejszym człowiekiem! I nam by miał do zawdzięczenia szczęście, zaszczyty, fortunę...

Szkoda, że się nie udało...

V. HISTORIA O INDYKU, CZYLI ZEMSTA RYSZARDA¹⁴

Sztuka, Literat

Ranek zapowiadał się cudownie. Niebo było lazuru i bez chmurki, jak na włoskim obrazku. Słońce rzucało cudowne blaski. Wszystko w promieniach słońca uśmiechało się radośnie. Ogród wyglądał jak bajka o szczęściu.

Autor zaznacza, że sam nie lubi opisów natury i opuszcza je w innych książkach, ale tym razem musiał wspomnieć o pogodzie i przyrodzie, gdyż rzadko się zdarza, ażeby było tak pięknie w styczniu.

Po odrobinie lekcji pobiegliśmy do ogrodu. Było tak gorąco, że mogliśmy siedzieć w altanie. Ptaszki ćwierkały, jak gdyby to już była wiosna.

Oswald objął spojrzaniem zgromadzoną rodzinę i postanowił przystąpić do narady, w której mógłby rozwinąć jakieś wspaniałe plany.

Zatarasował (na wszelki wypadek) wyjście do ogrodu, ażeby uniemożliwić odwrót komukolwiek z rodzeństwa, i rzekł:

— Pragnę rozpocząć wałną naradę.

Dick odrzekł:

— Owszem, pomówmy o tym.

Wtedy Oswald w przemówieniu krótkim a węzłowatym przypomniał rodzeństwu, że wiele wody upłynęło od pierwszych poszukiwań skarbu i że trzeba koniecznie obrać sobie jakiś zawód, gdyż w beczynności życia trwonić nie należy.

— A jakże — ziewnął H. O., nie zakrywając ust, co nie należy do wytwornych manier — ale ja ani myślę o obraniu jakiegoś zawodu, gdyż wiecie, jak się skończyło z podróżą do Rzymu.

— Lepiej zrobisz, nie wspominając tej historii — napomknęła Dora.

— Nawet o tym nie myśl! — dodał Oswald. — Mój projekt jest taki: trzeba utworzyć związek w tym rodzaju, co dawni „poszukiwacze skarbu”, rozumiecie mnie? A teraz milczenie! Trzymajmy przez pięć minut język (nie brudnymi palcami, kochany H. O.) za zębami, a potem będziemy po starszeństwie mówili o naszych zamiarach na przyszłość.

Oswald spojrział na zegarek. Szedł, co mu się zdarza tylko przez trzy dni po naprawie. Po pięciu minutach Oswald odezwał się:

— Już czas. Doro, przemów!

Dora zaczęła:

— Myślałam, myślałam, ale prawie że bezskutecznie. Może byśmy utworzyli związek ludzi pożytecznych.

— Nudne! — oświadczył Dick.

— Ja nic innego wymyślić nie mogę — odpowiedziała Dora. — Może Oswald będzie miał lepszy pomysł — dodała z przekąsem.

I Oswald rzekł z wielką powagą:

— Nieraz już miałem sposobność przekonać się, i wy także, iż nie umiemy wielu rzeczy; może byśmy utworzyli związek poszukiwaczy wiedzy?

Zaległo milczenie. Nikt nie sprzeciwił się projektowi Oswalda, ale też nikt nie wyraził zachwytu.

— Moglibyśmy — ciągnął Oswald — czytać mądre książki, zbierać pożyteczne wiadomości, a następnie pouczać się wzajemnie.

¹⁴Ryszard — imię Dick jest zdrobnieniem od imienia Richard.

— Tylko bez pouczania! — zawołał H. O. — Znam te wasze pouczania! Ja nie chcę, ażeby Oswald i Dick, pod pretekstem jakiegoś tam pouczania, nudzili mnie i rządili mną!

— A może związek poszukiwaczy rozumu? — zapytał Dick.

— Tego przy najlepszych chęciach i najdokładniejszych poszukiwaniach nie znajdziesz — odrzekł powątpiewająco Oswald. — Alu, kolej na ciebie.

— Ja proponuję związek wesołych kawalerów.

— Z tobą i z Dorą?! — zdziwił się Dick.

— I z Noelem! — dodał H. O. — Poeci nie są prawdziwymi chłopcami.

— Jak będziesz dokuczać Noelowi — przerwała Ala — to cię wyrzucimy stąd. Ja myślałam, że do tego związku będziemy należeć wszyscy i że chłopcom nie będzie wolno mówić „to nie dla was zabawa, bo jesteście tylko dziewczynami”.

— Nie chcę być chłopcem, pięknie dziękuję! — zawołała Dora. — Nie chcę się zachowywać tak jak oni. A ty, H. O., przestań siękać, od tego jest chustka. Nie masz własnej, to dam ci moją.

Teraz była kolej na Noela.

— A może byśmy utworzyli związek poetów i zaprzysięgli sobie pisywać co dzień poezje. Tak po jednym wierszu dziennie aż do samej śmierci.

Przeraził nas ten straszliwy projekt. Zamilkliśmy wszyscy ze zgrozy. Kochana Ala uratowała sytuację mówiąc:

— Noelu, to jest niemożliwe, gdyż tylko ty jesteś zdolny, mądry i tylko ty potrafisz pisać poezje.

A więc idiotyczny, mówiąc nawiasem, projekt Noela upadł.

— Pewno nie jesteście ciekawi moich projektów — zaczął H. O. — ale powiem wam. Założmy związek młodzieży uprzejmej i grzecznej i złożmy przysięgę dobrego traktowania najmłodszego brata oraz nieużywania go na posyłki.

Wy tłumaczyliśmy mu od razu, że on do takiego związku nie mógłby należeć, gdyż sam nie posiada młodszego brata.

— I możesz się czuć szczęśliwy z tej racji! — dodał Dick.

Już mieliśmy po raz wtóry zabrać się do myślenia nad jakimś odpowiednim zajęciem, gdy w drzwiach altany ukazał się nasz wuj z Indii.

— Hola, rozbójnicy — zawołał donośnym głosem — kto z was w tym radosnym wiosennym dniu ma ochotę udać się ze mną do cyrku?

Wszyscy mieli ochotę, nie wyłączając Oswalda, gdyż walne narady można mieć bodaj codziennie, a okazja pójścia do cyrku rzadziej się trafia.

Pospiesznie narzuciliśmy palta i wymaszerowaliśmy na stację.

W połowie drogi Dick sobie przypomniał, że pozostawił w altanie cyrkle. Obawiał się, że mogą zardzewieć i zniszczyć na wilgoci, więc zawrócił do domu.

— Dogonię was! — zawołał.

Tymczasem poszliśmy na stację. Wuj kupił bilety. Pociąg nadszedł. Dicka nie było widać.

— A to nieznosny chłopak! — rzekł wuj. — Lada chwila pociąg odejdzie, a my spóźnimy się na początek widowiska. Ale oto on, zajmijmy miejsca.

Wuj wsiadł, a my za nim. Zaczęliśmy z okien wagonu wołać Dicka i wymachiwać chusteczkami. Lecz Dick nie usłyszał i nie dostrzegł nas.

Pociąg ruszył, Dick starał się dostać na stopień i otworzyć drzwi. Gdy to robił, gruby portier pochwycił go za kołnierz ze słowami:

— Nie, młodzieńcze, bez zamiarów samobójczych na tej linii.

Dick rzucił się na portiera. Ale daremny był jego gniew. Pociąg przeszedł obok zrozpaczonego Dicka, który nie miał ani grosza przy duszy, a wszystkie bilety znajdowały się w kieszeni wujka.

*

Nic nie opowiem o cyrku. Mimo nieobecności Dicka i autor i jego rodzeństwo bawili się doskonale. Wiemy, że jest to wielka niesprawiedliwość. Po powrocie do domu omijaliśmy tematy cyrkowe, ale trudno było przemilczeć o sloniach.

Przypuszczam, że Dick przepędził popołudnie na gorzkich rozmyślaniach. Podobno między nim i portierem przyszło do tak ostrej sprzeczki, że zawiadowca musiał się wtrącić i nakłonić Dicka, by poszedł do domu.

Dick nie robił nam żadnych wymówek po powrocie z cyrku. Rozumiał, że to nie była nasza wina. Rzekł tylko:

— Ale temu portierowi nie daruję! Muszę się zemścić.

— Zemsta jest czynem nieszlachetnym — powiedziała Dora swoim tonem dobrze wychowanej pani.

Lecz nawet Ala odpowiedziała jej, że nie można wymagać od tak zmartwionego chłopca, ażeby był przykładny jak w moralnej powiastce dla młodzieży.

Mimo to Dora upierała się przy swoim zdaniu:

— A jednak, zemsta jest rzeczą brzydką!

— Ty mówisz, że zemsta jest rzeczą brzydką i nieszlachetną — powiedział Dick. — A jak określisz postępek tego nikczemnika? Gdybym przynajmniej wiedział, gdzie mieszka...

— Ja wiem, gdzie on mieszka — odezwał się Noel — wiem od dłuższego czasu.

— Więc mów, mów prędzej! — zawołał Dick z dzikim uśmiechem na twarzy.

— Poczekaj, Dicku — wmieszała się Ala — Noel opowie nam wszystko po kolei.

— To było któregoś dnia, gdy poszliśmy na stację. Wyście się wazyli na tej automa-tycznej wadze, a ja spacerowałem (przecież ważę tak mało, że wcale się nie oplaca, bym się wazył). Widziałem, jak z jakiegoś wagonu wyładowali mnóstwo koszy z drobiem. Między innymi znajdował się brązowy kosz z indykiem wewnątrz. Ten portier, którego Dick nienawidzi, spojrzał na adres i rzekł do drugiego:

— Mów prędzej, Noelu! — krzyknął Dick.

— Nie popędzaj mnie, bo nie powiem nic — obraził się Noel.

Ala musiała załagodzić sprzeczkę.

— Spojrzał na adres i rzekł: „Mała omyłka w adresie, prawda, Bobie! Powinno być plac Abła nr 3” — zwrócił się do kolegi. Tamten spojrzał i rzekł: „Rzeczywiście to samo nazwisko. Ładny indyk, nie ma co mówić. Szkoda tylko, że zły adres”. Gdy przestali się śmiać, spojrzałem na adres. Było tam: „Jakub Jonson¹⁵, ulica Greenwich 8”. Domyśliłem się więc, że portier mieszka na placu Abła nr 3, a nosi to samo nazwisko.

— Jakiś ty mądry! — zawołał z zachwytem H. O.

— Mam nadzieję, że nie skrzywdzisz portiera — rzekł Noel z powagą. — Nie poderżniesz mu gardła nożem i nie pošlesz zatrutej strzały. Mógłbyś najwyżej zrobić mu kawał.

Gdy Noel wypowiedział słowo „kawał”, twarz Dicka rozjaśniła się dziwnym uśmiechem. Milczał chwilę, a potem rzekł:

— Mam już!

Zrozumieliśmy, co chciał przez to powiedzieć.

— A kto potępia zemstę, musi opuścić ten pokój — zdecydował Dick.

Dora obraziła się i nadąsana zapytała:

— Czy mnie masz na myśli?

— Nie gniewaj się, ale byłoby mi bardzo przykro, gdybyś robiła cokolwiek wbrew woli, a potem miała pretensje do nas.

— Przewiduję, że to się źle skończy. Odchodzę. Ale pamiętajcie, że was ostrzegałam. I odeszła.

Potem Dick zapytał:

— Czy jest jeszcze ktoś, kto nie chce ze mną współdziałać?

Milczenie.

— A więc — ciągnął Dick — gdy Noel wspomniał o „kawale”, wpadłem na genialny pomysł. Jego imię i nazwisko brzmi Jakub Jonson. Żałował, że nie dostał indyka. Ja mu pošlę indyka.

— Indyka! — zawołał Noel zrywając się na równe nogi. — Żywego czy też nieżywego?

¹⁵Jakub Jonson — w oryginale ang.: James Johnson.

— Ani żywego, ani nieżywego — rzekł głębokim głosem Dick.
Noel zadrżał.
— Więc pół żywego. Jakie to okropne!
— Proszę cię, Dicku, nie baw się z nami w ślepą babkę, zdradź nam swe zamiary — powiedziała Ala.
— Dziwię się, że się nie domyślacie, bo ja od razu...
— Nie sztuka domyślić się własnych zamiarów — zauważył Oswald — mów, bracie!
— A więc postaram się o kosz. Zrobię mnóstwo paczek pustych w środku i pošlę temu panu. Załączę spis rzeczy, począwszy od indyka, a gdy Jakub Jonson rozpakuje wszystko, wewnątrz nie znajdzie nic!
— Ale musi być coś w tych paczkach, gdyż inaczej będą za lekkie — odezwał się H. O.
— W tych paczkach będzie coś, ale nie to, czego spodziewać się będzie ten pan — zaśmiał się gorzko pokrzywdzony Dick. — Zaczekajcie, zaraz przyniosę kosz.
Poszedł do piwnicy i przyniósł kosz oraz cztery butelki. Napełniliśmy butelki wodą z czarnym, czerwonym i niebieskim atramentem i żółtą farbą.
Potem sporządziliśmy spis rzeczy:

Jedna butelka wina czerwonego.
Jedna butelka wina reńskiego.
Jedna butelka rumu.
Jedna butelka likieru.

W dalszym ciągu napisaliśmy:

Jeden indyk.
Dwa funty serdelków.
Jeden piernik.
Jedno pudełko fig.
Dwa funty migdałów i rodzyneków.
Jedno pudełko daktyli.
Dwa funty śmietankowego masła.

Potem wzięliśmy się do roboty misternych paczek, które z zewnątrz wyglądały niezmiernie obiecująco. Najtrudniejszym zadaniem było zrobić coś podobnego do indyka. Trzeba było zużyć starą serwetę i uszyć z niej rodzaj worka, który by przypominał tułowa ptaka, jeszcze trudniej było dorobić mu szyję i nogi. Udało nam się to w zupełności. Daleko łatwiej było zrobić piernik z brązowej plasteliny. Serdelki były z papieru pomalowanego na czerwono. Do pustego, ale prawdziwego pudełka po figach włożyliśmy kamyczki. Daktyle były z gliny. Masło śmietankowe zrobiliśmy z kawałka drzewa. Na samym dnie kosza Dick położył kartkę z tymi słowami:

Zemsta jest bronią pokrzywdzonych. Pan zaczął, a teraz a pana ukarałem.

Ułożyliśmy wszystkie paczki kolejno. Wino było zawinięte w słomę. Na samym wierzchu leżał indyk i przyczepiony do niego spis rzeczy. Dick chciał dopisać „od nieznanego przyjaciela”, ale zauważyliśmy, że byłoby to nieszczerze, więc napisał tylko „od tego, który nazwiska nie poda”. Oswald i Dick wzięli kosz i poszli z nim na pocztę, ażeby wysłać paczkę. Dick się wykosztował, lecz nie żałował pieniędzy na zemstę.

Powiedziano nam, że paczka zostanie doręczona nazajutrz w porze obiadowej.

Toteż nazajutrz towarzyszyliśmy myślami paczce i portierowi.

— Spodziewam się, że w tej chwili otrzymał mój prezent — rzekł Dick — może czyta spis rzeczy i otwiera paczki. Widzę jego minę. Kawał był pierwszorzędny i zemsta też.

— A ja nie uważam — palnął Noel. — Żałuję, żeś wpadł na taki głupi pomysł i żeśmy ci w tym dopomogli. Ten nieszczęsny człowiek wścieka się w tej chwili i najchętniej zabiłby tego, kto mu posłał kosz, a nawet nie wie, kto mu tak dokuczył.

Takie wystąpienie Noela było nieoczekiwane i wywarło przygnębiające wrażenie na Oswaldzie, który pomyślał w tej chwili, że może Dora miała rację uważając zemstę za czyn nieszlachetny.

Dick był tak zaskoczony protestem brata, że nie wybuchnął gniewem. Noel rzucił się Ali na szyję i zaczął płakać. Kiedy się uspokoił, wziął się do pisania poematu, którego początek Oswald przytacza poniżej:

GNIEW ROZCZAROWANEGO PORTIERA

(Co by powiedział, gdyby sam był autorem tego poematu)

Zaglądam do wnętrza tego koszyka
I radość serce moje przenika.
Jest mi tak błogo, wesoło, radośnie,
Jak skowronkowi, co nuci o wiośnie...
Lecz nagle radość ustępuje wszelka.
A rozpacz moja jest doprawdy wielka.
Zemsty, ach zemsty! wołam w strasznym gniewie,
Lecz jak się zemścić, kiedy człowiek nie wie,
Kto ten nikczemny popełnił uczynek
I przysłał ten tu wstrętny upominek.
Nikt by szlachetny nie zmartwił portiera,
Który na stacji drzwi wszystkim otwiera.

Poemat Noela był nieskończenie długi i bezsensowny. A jednak... (zauważyłem nieraz, że autor stawia trzy kropki, wtedy kiedy myśli swojej nie chce wypowiedzieć do końca).

Podczas podwieczorku przyszła nasza pokojowa Janka i rzekła:

— W przedpokoju jest jakiś staruszek, który zapytuje o pana Dicka.

Przypuszczaliśmy, że jest to szewc, więc i Oswald udał się z Dickiem, gdyż zdarł obcasy i chciał je dać do naprawy.

Nie był to szewc, lecz obcy staruszek, siwy i zgarbiony.

Poprosiliśmy go do gabinetu ojca i usadowiliśmy w fotelu przy kominku.

— Czy mogę was prosić, ażebyście zamknęli drzwi?

W ten sposób zaczynają rozmowę bandyci i złodzieje. Nasz nieznajomy był zbyt stary na podobny zawód.

Zamknąłem drzwi, a on zaczął mówić:

— Niewiele mam do powiedzenia. Zapytuję, czy wyście to przysłali?

Wyjął z kieszeni ćwiartkę papieru — był to nasz „spis”. Spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem.

— Czy wyście to przysłali? — powtórzył staruszek.

Wtedy Dick wzruszył ramionami i powiedział:

— Tak.

Oswald zapytał:

— Skąd pan to wie? Kto pan jest?

Staruszek zbladł, wyjął z kieszeni drugi kawał papieru. Była to szara tektura, w którą zapakowaliśmy „masło”. Nie zauważyliśmy podczas pakowania, że na papierze było nazwisko i adres Dicka (w tę tekturę był zapakowany statek, prezent gwiazdkowy Dicka od wujka).

— Wiem stąd! — odrzekł starzec. — Prawda wyjdzie zawsze na jaw!

— Ale kto pan jest? — zapytał Oswald.

— Wszystko jedno. Nie o mnie tu idzie. Jestem tylko ojcem nieszczęsnego dziewczęcia, które nabraliście tak nikczemnie. Możesz się nadymać, młodzieńcze, a ja ci powiem, co myślę o tobie! Powiem wszystko, gdybym miał skonać nawet!

— Ale myśmy nie posyłali nic żadnej dziewczynie! — zawołał Dick. — Nigdy bym nie zrobił nic podobnego! To była zemsta. Koszyk posłałem portierowi, który mnie ściągnął

ze stopni wagonu — wyrzucił z siebie jednym tchem całą prawdę — o żadnej dziewczynie nic nie wiem...

— A ktoś to powiedział — rzekł starowina — że portier jest kawalerem! Otóż jego żona, a moja córka, otrzymała waszą nikczemną przesyłkę. Gdy przeczytała spis rzeczy, serce jej zabiło z radości i wzruszenia. „Ojciec — powiedziała do mnie — jacy ludzie są dobrzy. Prawdziwych przyjaciół znaleźliśmy w potrzebie. Tyle dobrych rzeczy! I nie wiadomo komu dziękować. Uczynek ich świadczy, że mają serca dobre i miłosierne. Zaczekamy na Jakuba. Jak wróci do domu, otworzymy paczki. Niechaj on także dzieli naszą radość”. Skoro Jakub wrócił, zaczęliśmy otwierać te piękne paczki... Ona zalała się gorzkimi łzami. Mój biedny zięć zaklął z cicha, a potem ukrył twarz w rękach i przemówił: „Nie wiedziałem, że mam wrogów. Jak mi Bóg miły, sądziłem, że mam samych przyjaciół”. Ja nie powiedziałem nic. Podniosłem papier z tym adresem i przyszedłem wprost do was. Przyszedłem do waszego pięknego domu, ażeby powiedzieć, co o was myślę. To jest niskie, nikczemne i podłe. Żaden porządny człowiek nie postąpiłby w ten sposób. Koniec. Żegnam was!

Wstał, ażeby odejść.

Nie powiem wam, co czuł w tej chwili Oswald. Dick czuł prawdopodobnie to samo, gdyż zawołał:

— Proszę pana! Niechaj pan jeszcze nie odchodzi! Ja wcale nie myślałem o córce pana...

— A jej dzieciątko ma zaledwie trzy tygodnie... — dodał staruszek.

— Doprawdy nie myślałem o niczym, tylko o zemście.

— Ale mój zięć spełnił swój obowiązek.

— Wiem, rozumiem... Przepraszam pana i jego przepraszam — mówił Dick drżącym głosem. — Jest mi przykro, tak bardzo przykro! Postaram się naprawić mój błąd. Proszę mi wybaczyć! Jestem zmartwiony. Z duszy i serca żałuję. Bardzo żałuję.

— Już dobrze — odparł nieco udobruchanym tonem staruszek — ale na drugi raz nie róbcie bez zastanowienia rzeczy, które mogą tak zmartwić waszych bliznich.

Rozstaliśmy się w najzupełniejszej zgodzie i staruszek podał nam rękę na pożegnanie.

Potem wróciliśmy do rodzeństwa, ażeby powiedzieć im, co zaszło. Była to ciężka chwila. Ale trudno powiedzieć, o ile cięższa była spowiedź przed tatusiem.

Noel po wysłuchaniu tej sprawy zadecydował (wyrzucił właściwie myśl, która nam wszystkim jednocześnie przysłała do głowy), że jedyną rzeczą, którą uczynić by należało — jest posłać portierowi oraz jego stroskanej rodzinie kosz, który by naprawdę zawierał wszystkie rzeczy wymienione w spisie.

Zaczęliśmy składać nasze oszczędności, ale okazało się, że nie mamy odpowiedniej sumy na zakupienie wszystkich prowiantów.

Trzeba więc było zwrócić się do ojca z prośbą o pożyczkę i opowiedzieć mu całą przysgodę.

Swoją drogą ulżyło nam, gdyśmy mu wszystko opowiedzieli.

Niewiele mówił z nami o tej sprawie tatuś, ale dał nam pensję za trzy miesiące z góry. Dał nam także sześć butelek czerwonego wina! Mówił, że czerwone wino jest najposilniejsze.

Nie posłaliśmy naszego kosza przez pocztę, gdyż obawialiśmy się, że wezmą to za nowy głupi żart. Zresztą Dick pragnął osobiście przeprosić portiera.

Wsiadliśmy we dwójkę do dorożki i pojechaliśmy. Pierwszy poszedł Dick; powiedział to, co miał do powiedzenia. Potem wrócił do mnie i zanieśliśmy razem kosz.

Radość portiera, a zwłaszcza jego żony, była ogromna. Rozpakowując paczki, mówiła:

— Popatrz, ojciec, co za smakołyki! Namartwiłam się wprawdzie, ale gdyby nie zmartwienie, nie byłoby też i radości. Niech się pan nie tłumaczy, ale przyjmie serdeczne wyrazy wdzięczności.

Od tego czasu żyjemy w wielkiej przyjaźni z portierem i jego rodziną.

Brak pieniędzy dokuczył nam trochę. Ale Oswald nie wymawiał Dickowi jego głupiego pomysłu, gdyż będąc sprawiedliwym, przyznać musi, że bawił się doskonale fabrykując sztucznego indyka.

Dora, która wcale nie brała udziału w tej zabawie i potępiła ją z góry, wniosła także swoje pieniądze. Autor czuje się zmuszony powiedzieć, że postąpiła bardzo porządnie.

Oto, cała
HISTORIA O INDYKU
CZYLI
ZEMSTA RYSZARDA

(Przypominam czytelnikom, że „Dick” to zdrobnienie od imienia Ryszard).

CZĘŚĆ DRUGA

I. TOWARZYSTWO HISTORYCZNE¹⁶

I znowu byliśmy bez zajęcia i bez wyraźnych planów na przyszłość, a przypadało kilka dni świąt i mieliśmy sporo wolnego czasu.

— A gdyby utworzyć jakieś stowarzyszenie naukowe albo coś w tym rodzaju? — powiedział Albert-z-Przeciwka, który był u nas z wizytą i brał udział we wspólnej naradzie.

Zdaje mi się, że pomysł ten już miał od dawna i czekał tylko na pierwszą sposobność, ażeby nam go wyjawić. Skądże by inaczej wpadł na coś podobnego?

— Stowarzyszenie naukowe? Nie bardzo cię rozumiem — odparł Oswald.

— To nic trudnego, moglibyśmy utworzyć „towarzystwo historyczne” — zachęcał Albert-z-Przeciwka.

— Mój drogi! — zawołał Dick. — Wiem, czym to pachnie. Historyk musi umieć na pamięć wszystkie daty historyczne, opisy wojen i królów, i jeszcze gorsze rzeczy.

— To nie jest zabawne! — skrzywiła się Dora.

— Ależ dajcie Albertowi przyjść do słowa, niech nam opowie, o co mu idzie — wstawił się za Albertem Oswald.

— Niedaleko stąd, na piątej czy szóstej stacji, mieszka znany historyk Sir Tomasz (nazwiska nie mogę sobie przypomnieć), który posiada znakomitą bibliotekę, pełną przepięknych dzieł historycznych. Z okien wagonu widać pałac i wspaniały park.

— Cóż z tego — rzekł Dick — może mieć najpiękniejszy park, ale wątpię, czy nas zaprosi na podwieczorek.

— Czemuż by nie miał nas zaprosić? Ubierzemy się bardzo starannie. Kupimy sobie okulary (ludzie uczeni zawsze chodzą w okularach), pojedziemy do Sir Tomasza, usiądziemy nad książkami i będziemy czytać w skupieniu i z powagą — roztaczał swoje projekty Albert. — Ale, zapomniałem wam powiedzieć, że samo czytanie nie wystarczy; historycy sami muszą pisać dzieła historyczne i każdy z nas, jeżeli pragnie odwiedzić Czerwony Dwór¹⁷ (a jest tam podobno przepięknie), musi napisać jakąś pracę naukową.

Spojrzelśmy na Alberta z wielkim przestachem.

— Nie bójcie się, to nic strasznego. Każdy z nas napisze jakieś małe wypracowanie i z tym pojedziemy do Sir Tomasza — mówił Albert.

— Oj-oj! — westchnął Oswald. — Nie widzę w tym nic ciekawego i obawiam się, że będzie bardzo nudno.

— Oswaldzie! — zawołała Ala i palnęła mówkę zupełnie w stylu Dory.

Pomimo że projekt nie przedstawiał się zbyt interesująco, wszyscy nań przystali (nie mieliśmy nic zabawniejszego na widoku).

Zabraliśmy się do wypracowań.

Dick postanowił napisać o Karolu Wielkim, uczył się o nim właśnie w szkole.

— Ja napiszę o tym, co się zdarzyło w roku tysiąc sześćdziesiątym szóstym — rzekł H. O. — bo wiem dokładnie.

Ala nie mogła się zdecydować:

— Jeżeli w ogóle napiszę, to tylko o nieszczęśliwej królowej Marii.

Po długich namysłach znaleźliśmy wszyscy jakieś tematy.

Nagle H. O. zapytał:

— A jeżeli on nas nie wpuści?

— Jak to nie wpuści! Czy może nas ktoś nie wpuścić?

— Ten pan z Czerwonego Dworu.

¹⁶I. *Towarzystwo historyczne* — w wersji angielskiej rozdział piąty. W polskim tłumaczeniu w tym i następnym rozdziale rodzeństwu Bastablów towarzyszy jedynie Albert-z-Przeciwka. W oryginale poza nim występowali także Daisy i Denny (Denis, zwany też przez dzieci Dentystą), dzieci znanego z *Poszukiwaczy skarbu* pana Foulkes'a, tam nie wymienieni z imienia, a jedynie jako „białe myszki”, jak nazywał ich H. O. Tłumaczka dokonała tej zmiany najprawdopodobniej dlatego, że wraz z rodzeństwem Bastablów występowali w niewydanej wówczas w Polsce drugiej części cyklu, *The Wouldbegoods*, i byli stamtąd dobrze znani czytelnikowi angielskiemu, ale nie polskiemu, w przeciwieństwie do obecnego w pierwszej części cyklu Alberta-z-Przeciwka. To Denny, nie Dick, był towarzyszem nieustraszonego badacza Oswalda w następnym rozdziale.

¹⁷*Czerwony Dwór* — w oryginale ang.: Red House.

O tym nikt z nas nie pomyślał. Nie przypuszczaliśmy również, że może nas spotkać niegościnne przyjęcie ze strony gospodarza. Postanowiliśmy więc napisać list z zapytaniem.

Nikt nie miał ochoty pisać. Jak zwykle w tych sprawach rozstrzygnął los (galki czarne i białe). Przeznaczenie padło na Noela. Był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy. Zostawiliśmy go sam na sam z maszyną do pisania i pobiegliśmy do ogrodu.

Maszyna do pisania to ciężka rzecz; niech się wam nie zdaje, że wystarcza usiąść przy stole i stukać palcami w małe klawisze, a wszystko jest zaraz gotowe. Noel biedził się przez kilka godzin; pokój, w którym pisał, był zasłany arkuszami papieru, na których rozpoczynał list.

Po wysłaniu listu Noel przyznał się, że chociaż na maszynie, ale pisał tak nieczytelnie, tyle razy przekreślał, tak mu jedno słowo wchodziło na drugie, że sam nie mógł listu odcyfrować.

— A jak się podpisałeś? — zapytał Oswald.

Noel zmieszał się i milczał.

— No, powiedz! — powtórzył Oswald.

Milczał. Przyparliśmy go więc do muru i wydobyliśmy z niego zeznanie.

— Edward Turnbull.

(Muszę nadmienić, że Edward Turnbull jest to nazwisko jednego ze znanych profesorów uniwersytetu).

Spojrzelśmy na Noela jak na wariata.

— A jaki adres podałeś?

— Nasz adres.

Oswald nagał poecie wiele przykrych słów prawdy, których nie warto przytaczać. Ala, jak zwykle, stanęła po stronie Noela i przyrzekła, że przez cały następny dzień czatować będzie na listonosza i pytać go, czy nie ma listu dla pana Turnbulla.

I rzeczywiście nazajutrz otrzymaliśmy list, bardzo uprzejmy, bardzo dorosły i bardzo serdeczny, w którym było napisane, że będziemy mile widziani i że biblioteka, łącznie z parkiem, znajduje się do naszej dyspozycji.

Przychylna (nawet bardzo przychylna) odpowiedź od pana z Czerwonego Dworu — nazwiska nie podaję, ponieważ jest człowiekiem europejskiej sławy — ucieszyła nas nad wyraz i zaraz zabraliśmy się do pisania wypracowań.

Wyciągnęliśmy z biblioteki wszystkie tomy wielkiej encyklopedii i czerpaliliśmy z niej wiadomości do naszych referatów. Noel, jako poeta, stworzył poemat historyczny; daremnie staraliśmy się go przekonać, ażeby chociaż raz jeden nie pisał wierszem. H. O. wyglądał, jak gdyby wziął kąpiel z atramentu. Wreszcie wy dostał od Dory kawał laku, ściągnął od ojca wielką kopertę i dokument swój zapieczętował. Albert napisał coś bardzo poważnego o Konstytucji. Dick zataił przed nami treść swojego utworu (wiem, że pisanie nie zajęło mu dużo czasu).

Gdy wreszcie uporaliśmy się z pisanem, przyszła kolej na rzeczy znacznie przyjemniejsze: to jest wygląd zewnętrzny.

Zauważyliście już pewno nieraz, drodzy czytelnicy, że prawdziwi uczeni noszą zazwyczaj binokle albo okulary. I myśmy pragnęli nadać sobie wyraz poważny i dostoyny. Ale trudno było o okulary. W domu znajdowały się tylko trzy pary starych okularów wujka. Po resztę udaliśmy się do znajomego jubilera, zegarmistrza i optyka w jednej osobie, który reperuje nasze zegarki. Pożyczył nam cztery pary okularów pod warunkiem, że zapłacimy za uszkodzenie szkieł lub oprawy.

Ruszyliśmy w drogę. Ojciec, zajęty swoimi sprawami, znajdował się poza domem. Pannie Black powiedzieliśmy o zaproszeniu do Czerwonego Dworu. Pozwoliła dziewczętom włożyć odświętne suknie, a nam nowe palta. Z racji tej nadzwyczajnej wycieczki wyszorowaliśmy się uczciwie. Przed wyjściem z domu zauważyliśmy, że H. O. zrobił sobie opaloną zapalką kreski na twarzy. Miały to być zmarszczki. Powiedzieliśmy mu, że nie wygląda to na zmarszczki, ale po prostu na brud. Wtedy H. O. obmył twarz, a zmarszczki nakreślił czerwonym ołówkiem. Reszta rodzeństwa i Albert-z-Przeciwka nic nie dodali do swojego naturalnego wyglądu, a okulary ukryliśmy w kieszeniach.

I rzeczywiście, najbardziej spostrzegawcze oko nie byłoby w stanie zauważyć czegoś nadzwyczajnego w młodzieży udającej się na dworzec. Nikt nie mógłby przypuszczać, że jest to „Towarzystwo Historyczne”.

Weszliśmy do oddzielnego przedziału i wtedy, na znak dany przez Oswalda, włożyliśmy wszyscy okulary.

Kiedy w nadzwyczajnym porządku i skupieniu wysiadaliśmy z pociągu, zawiadowca stacji i cały personel kolejowy przyglądali nam się z niekłamanym szacunkiem.

Nie zwlekając, udaliśmy się do Czerwonego Dworu. Stanęliśmy przed pięknym żywopłotem. Czekaliśmy przez chwilę. Nikt nie wyszedł na nasze przywitanie. Wobec tego weszliśmy do parku. Park był nadzwyczajny. Wymarzony do naszych zabaw. Było tam jeziorko! Malownicze ruiny! Ale Oswald przypomniał o postanowieniu, jakie powzięliśmy, a mianowicie, by natychmiast po przybyciu na miejsce wziąć się do odczytywania referatów.

Stanęliśmy koło klombu. Pierwszy czytał Albert-z-Przeciwka. Był to krótki, ale też nudny wyciąg z podręcznika historii powszechnej. Przytaczać go nie mam zamiaru.

Następnie czytał Oswald bardzo interesujące studium o jednym z Henryków, królu angielskim, o którym wiadomości zaczerpnął z encyklopedii. Czytał właśnie o walnym zwycięstwie na polu walki, gdy nagle posłyszał za sobą jakiś hałas. Przerwał więc w środku najbardziej zawilego zdania i obejrzał się.

Za nim stała dama, bardzo gniewna, bardzo zirytowana. Miała na sobie bładoniebieską suknię i niedbale zarzucone futro. Obok niej stał jakiś pan, także zły, ale milczący.

— Jakim prawem weszliście do cudzego ogrodu? — zawołała pani.

— Mamy prawo wstępu — rzekł Oswald z godnością i pokazał jej list pana z Czerwonego Dworu.

— Ależ to jest list napisany do pana Turnbulla — rzekła pani z Czerwonego Dworu — skąd macie ten list?

Wtedy pan z Czerwonego Dworu poprosił nas (bardzo uprzejmie), ażebyśmy mu dali kilka słów wyjaśnienia. I Oswald zwięźle, jasno, szczerze opowiedział całą prawdę. Na zakończenie dodał Oswald, że państwo z Czerwonego Dworu nie powinni się martwić, że nie odwiedził ich nudny historyk i że Bastablowie są także mili.

Ona słuchała tego wszystkiego przez dobrą chwilę, a potem wybuchnęła śmiechem, który echem rozniósł się po ogrodzie.

Gniew ustał. Pani z Czerwonego Dworu zaprosiła nas na obiad. Ale zanim zdążyliśmy uprzejmie podziękować, H. O. wyrwał się cokolwiek niestosownie, zapewniając panią z Czerwonego Dworu, że jeżeli nie jest przygotowana na przyjęcie tak licznych gości, to reszta niech wraca do domu, a on zostanie, bo mu się tutaj bardzo podoba.

Rozśmieszyło to panią z Czerwonego Dworu, która nas prosiła, ażebyśmy sobie nie przeszkadzali w pracy historycznej, a ona tymczasem pójdzie poczynić przygotowania do obiadu.

Oswald odczytał swój piękny referat do końca. Następnie Dick — utwór, w którym było więcej o statkach niż o historii. Kończył się jego utwór słowami, że Nelson nie byłby nigdy zabity, gdyby nie zła budowa statku. Dora w swoim artykule pisała o śmierci jakiejś tam królowej. Rzecz była strasznie nudna i żywcem przepisana z książki. Nie przytaczam tym razem poematu historycznego Noela, należał do mniej udanych. Alą nie napisała nic, gdyż cały dzień była zajęta przepisywaniem poezji Noela.

Ostatni miał czytać H. O. Ale nie chciał w żaden sposób. Wtedy Dora otworzyła jego kopertę, w której znajdował się arkusz papieru, owinięty w bibułę. Na arkuszu widniały te słowa: „1066. Wilhelm Zdobywca”, nic więcej nie napisał.

— Bo — mówił H. O. — powiedziałem, że napiszę wszystko, co wiem o tym roku. Czy mogłem napisać coś więcej, skoro nic więcej nie wiedziałem?

Dziewczęta przyznały mu rację, lecz Oswald skarcił go poważnie:

— Doprawdy nie było warto robić sobie zmarszczek ani kłaść okularów, żeby napisać trzy słowa.

Potem zaczęliśmy się bawić w chowanego i wyścigi. Bawiliśmy się aż do obiadu, a po obiedzie... Co było po obiedzie opowiem wam w oddzielnym rozdziale.

II. NIEUSTRASZONY BADACZ I JEGO TOWARZYSZ

Obiad był znakomity. Na deser podano orzechy, migdały, figi, rodzynki, daktyle, marmoladki, karmelki, czekoladki. Była też wyborna lemoniada w szklankach kryształowych. Noel powiedział, że są to kubki zaczarowane, i piliśmy z nich zdrowie wszystkich.

Noel pił zdrowie pani z Czerwonego Dworu; wzniósł przy tym toast na jej cześć, mówiąc, że jest „najmilszą w świecie dziewczyną i bardzo smakuje mi wino”.

Byliśmy wszyscy zdania, że pani z Czerwonego Dworu jest bardzo miła. Jej mąż podobał się nam również. Rozmawiał z nami o sportach i znaczkach pocztowych.

Nagle Noelowi, który często mówi od rzeczy, wyrwało się mądre i dorzeczne pytanie:

— A może macie w waszym zamku jakieś tajemnicze schody? Czyście zbadali wasz zamek dokładnie?

— Myśmy zbadali nasz dom, ale że wy go nie znacie, pozwalam wam przeszukać ten dom od góry do dołu. Możecie wszędzie zajrzeć, ale nie róbcie szkody. Jazda!

Tak szlachetne słowa nie wyszły chyba nigdy dotąd z ust kobiety zamężnej. Skorzystaliśmy niezwłocznie z uprzejmego zaproszenia, zwłaszcza że obawialiśmy się, iż może być cofnięte.

Nie opiszę Czerwonego Dworu, gdyż, może być, czytelnikom nie spodobałby się wcale dom, w którym jest mnóstwo schodów, schodków, korytarzy, balkonów i komnat, w których się mieszczą dziwne, starożytne meble i biblioteki pełne książek.

Przebiegliśmy dom wszerek i wzdłuż, ale nie zauważyliśmy nic nadzwyczajnego ani nawet godnego uwagi.

Pomyśleliśmy o piwnicy. W kuchni znajdowała się tylko jedna służąca. Zwróciliśmy się do niej z grzecznym: „Dzień dobry”, a następnie powiedzieliśmy jej, że pozwolono nam chodzić wszędzie, gdzie się nam podoba, i że prosimy ją, by nam wskazała drogę do piwnicy. Była bardzo uprzejma, wskazała nam wejście i dała lichtarz ze świecą.

Powoli zaczęliśmy schodzić po kamiennych stopniach. Były wysokie i pokryte wilgocią, jak w starym zamczysku. Piwnica posiadała bardzo niskie sklepienie.

— Wymarzone miejsce dla zbrodni — westchnął Dick.

Była tam piwnica z winem i piwnica z innymi zapasami. W jednej ze ścian mieściło się zagłębienie.

— Ażeby wrzucać trupy — objaśnił Oswald.

Piwnica składała się z małych pokoików połączonych z sobą korytarzami. Skorzystaliśmy z tego, ażeby się bawić w jedną z ulubionych gier — w „króla zamku”, polegającą na cichym stapaniu i wymijaniu się w ciemnościach.

Nagle Albert zawołał:

— Oj-oj-oj!

Wywnioskowaliśmy z tego okrzyku, że musiał potknąć się albo uderzyć o ścianę.

— Bardzo się stłukłeś? — zapytała Dora.

— Nie — rzekł nie swoim głosem — ale ściana, o którą się potknąłem jest inna niż wszystkie, zdaje się, że jest drewniana; może za tą ścianą mieszczą się skarby ukryte, może jest tam jakaś skrytka?

Stanęliśmy przed tą ścianą. Była z drzewa. Wyglądała bardzo ciekawie. Strasznie pragnęliśmy dowiedzieć się, co mieści się za tą ścianą. Zauważyliśmy, że ściana nie sięga sklepienia. Wobec tego postanowiliśmy się dostać na drugą stronę, znany nam, drodzy czytelnicy, systemem. Oswald przykląkł, a na jego ramionach stanął Dick.

— Podajcie mi zapalki! — zawołał.

Ale z zapalkami było bardzo krucho.

— Boże, co za straszny kurz! — westchnął Dick. — Prawdziwa kopalnia. Szkoda, że nie mam łopaty.

Dick dostał się na sam szczyt ściany i znowu zapalił zapalkę.

— Co widzisz? Co widzisz?! — zaczęliśmy wołać w najwyższym podnieceniu.

Lecz zanim Dick zdołał spojrzeć w ciemną głębię, zapalka zgasła.

Teraz po plecach Alberta wszedł Oswald na górę. Zapalił zapalkę i już, już miał dojrzeć coś niezmiernie interesującego, gdy znowu zapalka zgasła.

Nie pozostało nam nic innego, jak zsunąć się na drugą stronę ściany; co też uczyniliśmy. Potknęliśmy się o jakieś sprzęty drewniane, a po chwili zaczęliśmy tonąć w kurzu.

Posuwanie się naprzód było połączone z niezmiernym trudem, co chwila potykaliśmy się wzajemnie. Panowały nieprzeniknione ciemności. Niepewne położenie niecierpliwiło nas. Czekaliśmy na resztę rodzeństwa, która się nie zjawiała.

W końcu usłyszeliśmy stuk i hałas, a po chwili otworzyły się drzwi i ujrzelśmy naszą gromadkę z panem z Czerwonego Dworu i jeszcze jakimś panem na czele. Nieśli z sobą świece, które w ciemnościach wyglądały jak pochodnie.

— A to odkrycie! — zawołał pan z Czerwonego Dworu. — Mieszkamy tu prawie od roku i nigdy nie przyszło nam na myśl, że mogą się tutaj znajdować jakieś drzwi.

— Nie bawiliście się prawdopodobnie w „króla zamku” — rzekła Dora — ta zabawa przyczyniła się do naszego odkrycia.

— Doprawdy, nie bawiliśmy się nigdy w „króla zamku”.

— Nansen jest niczym w porównaniu z wami. Powinniście za wasze zdobycze naukowe otrzymać złoty medal — rzekł towarzysz pana z Czerwonego Dworu. Nikt nam jednak nie dał medalu, o co zresztą nie mieliśmy żadnych pretensji.

W piwnicy było mnóstwo starych mebli, kurzu, pajęczyny i pajaków. Znajdowała się jakaś olbrzymia stara szafa, jakieś łóżko i krzesła. Pan z Czerwonego Dworu oraz jego przyjaciel zachwycali się tym wszystkim. Znajdowało się tam także jakieś pudło składające się z dwóch części.

— Mógłby pan zrobić z tego wspaniałą klatkę dla królików — rzekł H. O.

I Oswald to pomyślał; ale pan z Czerwonego Dworu rzekł, że znajdzie lepsze zastosowanie dla tego pudła.

Następnie zajęliśmy się przeniesieniem odkrytych skarbów z piwnicy do kuchni. Ciężka to była praca, ale, jak wiadomo, praca uszlachetnia. Służąca nie była zachwycona naszymi odkryciami, gdyż miała najwięcej roboty przy czyszczeniu mebli, ale pani z Czerwonego Dworu dziękowała nam, mówiąc, że jesteśmy kochane dzieciaki.

Towarzysz pana z Czerwonego Dworu poprosił nas na podwieczorek do swojego domku, który stał tuż obok.

— Spożycie podwieczorek pod moim skromnym dachem? — zapytał nas.

Przyjęliśmy z rozkoszą zaproszenie, a podwieczorek był znakomity. Nasz gospodarz był korespondentem wojennym, opowiadał nam mnóstwo ciekawych rzeczy i pokazywał piękne obrazki i książki.

Zabawa była wspaniała.

A gdy nadeszła pora rozstania, podziękowaliśmy wszystkim, a przede wszystkim pani z Czerwonego Dworu za serdeczne przyjęcie. Pani z Czerwonego Dworu ucałowała dziewczęta i małych chłopców, a potem przechyliła głowę na bok i rzekła spoglądając na Oswalda:

— Chyba jesteś za stary?

Oswald chętnie by ucałował panią z Czerwonego Dworu, ale nie mógł przecież powiedzieć, że jest małym chłopcem. Milczał więc. Naturalnie Noel się wyrwał:

— Pani nie będzie nigdy za stara do całowania.

Powiedział głupstwo, ale chłopak ten ma dziwne szczęście, uchodzą mu wszystkie powiedzenia, a nawet podobają się. Pani z Czerwonego Dworu ucałowała Noela, a do mnie wyciągnęła rękę, na której złożyłem taki pocałunek, jaki się składa królowym.

Do domu odwiózł nas przyjaciel pana z Czerwonego Dworu, który zawołał wspaniałą dorożkę z lekko zezującym koniem — i taki był powrót triumfalny Towarzystwa Historycznego.

Skończyła się jedna z najmilszych przygód — przygoda, której następstwa były opłakane.

Otóż po powrocie do domu mówiliśmy bardzo dużo o pani i panu z Czerwonego Dworu, a także o piwnicy, krętych schodach, zakamarkach. Nazajutrz byliśmy także pod wrażeniem chwil spędzonych w Czerwonym Dworze i Oswald przeczytał na głos swojemu rodzeństwu historię o nadzwyczajnym bohaterze, który był rozbójnikiem i uciekając przed wrogiem, wpadł do lochu, gdzie się znajdowało mnóstwo szczurów — spędził tam kilka dni, ale go szczury nie zjadły.

— Nie wiem, czyście zauważyli — rzekł Noel podczas obiadu — że i my posiadamy obok kuchni piwnicę, do której prowadzą małe schodki z sieni.

— Doprawdy — podchwycił Dick — nie byliśmy tam nigdy. Co za szkoda, że idę dziś z Dorą i panną Black mierzyć buciki, moglibyśmy już dzisiaj zwiedzić piwnicę.

— To bez ciebie zwiedzimy piwnicę — powiedział Noel. — Czuję się usposobiony bardzo „piwnicznie”.

Rzecz oczywista, że obiad zjedliśmy z pośpiechem i nie czekając powrotu Dicka i Dory, poszliśmy do sieni.

Pięć schodków prowadziło do piwnicy. Na samym dole znajdowały się drzwiczki. Pchnęliśmy je i weszliśmy do piwnicy.

— Dziwne, że drzwi są otwarte — zauważył Noel.

— To w ogóle nie wygląda na piwnicę, ale na kryjówkę rozbójników — zauważyła Ala — popatrzcie tylko na to mnóstwo zapasów: kartofle, marchew, cebula, kapusta.

— Stać — zawołał Oswald — ani kroku dalej! Być może, że tutaj są złoczyńcy.

— A może rzucą się na nas? — zapytał H. O.

— Nie odważą się wyjść na światło dzienne — zapewnił Oswald — zaczekajcie chwilę, a przyniosę moją nocną latarkę.

I Oswald udał się po swoją nocną latarkę, która dotychczas stała bezużytecznie. Ale ktoś zabrał Oswaldowi świeczki i długo Oswald nie mógł zapalić lampy. Pomyślał, że przedłużając swoją nieobecność wypróbuje odwagę rodzeństwa, które będzie się mogło przekonać, czy rzeczywiście jest ktoś w piwnicy, czy też nie ma nikogo.

Gdy wreszcie zszedł z pięciu schodków i krwawe światło objęło wnętrze piwnicy, zdziwienie Oswalda nie miało granic. Wszyscy znikli.

— Hej tam! — zawołał drżącym głosem. Nic dziwnego, czytał i słyszał niejeden, przeto obawiał się o losy rodzeństwa.

Odpowiedział mu zduszony okrzyk, za którym podążył Oswald.

— Ostrożnie, Oswaldzie — rzekła Ala — nie wpadnij na kościotrupy.

Oswald rozejrzał się, nie miał ochoty chodzić po kościotrupach (ale nie odskoczył z wrzaskiem, jak to czasem opowiada Noel).

Pagórek przysypany ziemią wyglądał bardzo podejrzanie — Oswald z prawdziwą radością dowiedział się, że był to tylko pasternak.

— Czekaliśmy bardzo długo na ciebie, Oswaldzie — mówiła Ala — a potem myśleliśmy, że rozbójnicy wpadli na twój trop, uwięzili cię i że nie wyrwiesz im się tak prędko. Na szczęście Noel znalazł przy sobie twoje świeczki. Cieszę się, że cię nie uwięziono.

Niejeden chłopak skarciłby swojego młodszego brata za ściągnięcie świeczek, ale Oswald darował tym razem Noelowi przewinienie oraz zapalki. Marchew, cebula, groch, kartofle nie były interesujące — zwłaszcza gdy się widziało, że nie są to żadne kościotrupy ani skarby ukryte. W dodatku było zimno i trudno udawać, że jest przyjemnie, gdy ręce i nogi kostnieją.

Oswald rzekł:

— Chodźmy do ogrodu. Zabawimy się w coś, co nas rozgrzeje. Trudno się ogrzać świeczkami, nawet cudzymi.

To było wszystko, co powiedział Oswald.

I Ala przystała na ten pomysł. Oboje pobiegli do ogrodu i bawili się w golfa laskami ojca i wuja. Noel i H. O. woleli pójść do swojego pokoju, aby ogrzać się przy kominku.

Teraz opowiem koniec historii, w której nie wzięli udziału Oswald i Ala, gdyż bawili się w ogrodzie, ani też Dick i Dora, ponieważ byli u szewca. Autor wyobraża sobie tylko dalszy ciąg wypadków.

Noel i H. O. trzymali nogi przy kominie dopóty, dopóki ciepło nie zaczęło im dokuczać, a buty się przypiekać; jeden z nich, nie wiem który — prawda nigdy nie wyszła na jaw — rzekł do drugiego:

— Chodźmy raz jeszcze zbadać piwnicę.

Drugi — mniejsza o to który — zgodził się. Poszli więc i oczywiście, bez pozwolenia Oswalda, zabrali z sobą jego latarkę.

Za drzwiami do piwnicy znaleźli jeszcze jedno drzwi.

Noel twierdził, że powiedział: — Nie chodźmy tam — i H. O. mówił to samo. Ale obydwaj poszli.

Znaleźli się w małym pokoju, który, jak dowiedzieliśmy się potem, służył do przechowywania grzybów. Pokoik był czysty, świeżo wyszorowany. Na ścianie przybite były

półki. Autor jest pewien, że obydwaj pobledli ujrawszy to, co się znajdowało na półkach (oni temu przeczą).

Ujrżeli wielkie słoje, liny, druty. Jeden z nich odezwał się głosem, który musiał drżeć z trwogi:

— To jest proch, jestem o tym przekonany; co zrobić?

— Jestem pewien! — odpowiedział drugi.

— To jest na pewno zemsta polityczna, gdyż tatuś brał udział w wyborach i jego partia zwyciężyła.

— Co zrobić?

— Trzeba by przeciąć druty tej piekielnej maszyny; jest ich dwanaście.

Oswald uważa, że ci dwaj mali chłopcy, bo przecież i Noel, chociaż pisze poezje i często choruje na bronchit, jest małym chłopcem, dali prawdziwy dowód męstwa. Nie uciekli przed prochem, nie pobiegli po pannę Black ani też po kucharkę, ale z całą odwagą uczynili to, co uważali za właściwe.

Nie upieram się przy zdaniu, że zrobili to, co należało — ale im się zdawało, że czynią dobrze. I chyba nie można uważać, że ktoś źle postępuje, jeżeli wierzy, że słusznie postąpił. Mam nadzieję, że kochani czytelnicy zrozumieją mnie.

Zdaje mi się, że chcieli początkowo ponacinać druty szczyrykiem, ale im się nie udało, więc poszli po nóż kuchenny, młotek i obcęgi. Kiedy odcięli druty, które były owinięte w zielone jedwabne nici, postanowili do reszty zniszczyć piekielną maszynę. Przynieśli więc kilka kubłów wody, zaleli słoje, a potem potłukli je. W ten sposób zniszczyli maszynę mającą uśmiercić tatusia, wuja i cały ród Bastablów.

Następnie poszli zmienić ubranie, bo przemokli do suchej nitki podczas zalewania piwnicy. Przez całe popołudnie chodzili z dumnie podniesionymi głowami i co chwila zwierali sobie na ucho jakieś ważne tajemnice. Nas, oczywiście, nie dopuścili do sekretu.

Kiedy tatuś wrócił do domu, dwaj nasi malcy dowiedzieli się okrutnej prawdy.

Gdyby byli zwierzyli się starszemu rodzeństwu, na pewno dowiedzieliby się wcześniej tej prawdy, która zresztą nie była interesująca.

A teraz, niech się czytelnik przygotuje do rozczarowania. Sznury, słoje i druty nie należały do żadnej piekielnej maszyny, ale ojciec podczas naszej wizyty w Czerwonym Dworze założył dzwonki elektryczne.

Zalewając piwnicę, zniszczyli chłopcy prócz dzwonek cały gazomierz.

Zdaje mi się, że tym razem ojciec nie był tak sprawiedliwy, jak jest zwykle. Zdaje mi się, że wuj również był niesprawiedliwy. Ale trzeba mu to wybaczyć, już tyle czasu minęło, odkąd był małym chłopcem.

*

Na święta Bożego Narodzenia posłaliśmy wszyscy państwu z Czerwonego Dworu karty z powinszowaniami, a Noel załączył bardzo piękny wiersz.

W maju otrzymaliśmy list z zaproszeniem i którejś pięknej niedzieli pojechaliliśmy w odwiedziny do Czerwonego Dworu.

Ogród był w kwiatach, a pan i pani z Czerwonego Dworu weseli i gościnni. Bawiliśmy się znakomicie.

Ale czy uwierzycie, to pudło z piwnicy, które H. O. radził przerobić na klatkę dla królików, było przerobione na kołyskę, a w niej leżało małe dzieciątko.

Boże drogi! Już ja tam wołę króliki! Mniej z nimi kłopotu i więcej z nich pożytku.

III. FRUWAJĄCY LOKATOR

Ojciec zna jednego pana, który się zowie Eustachy Sandal. Nie wiem, jak się o nim wyrazić, ale ojciec wierzy w jego dobre chęci. Jest on jaroszem i w dodatku zajmuje się rozmaitymi sprawami społecznymi. Organizuje różne koncerty i przedstawienia dla niezamożnych, ponieważ „pragnie do szarego życia wnieść Piękno”. Sam to mówi, Oswald słyszał na własne uszy.

Otóż któregoś dnia przyszedł pan Sandal z biletami na koncert. Tatuś kupił kilka dla naszych służących. Właśnie podczas wizyty pana Sandala Dora weszła do gabinetu ojca. Pan Sandal przywitał się z nią bardzo uprzejmie i zapytał:

— Moja miła panienko, czy nie zechciałaby pani poprzeć naszej instytucji, która podnosi ludzi na duchu, to jest czyby się pani nie podjęła sprzedaży biletów na wtorkowy koncert?

Dora zapaliła się bardzo do sprzedaży biletów i cały dzień była zajęta wyszukiwaniem ludzi, którzy by pragnęli podnieść się na duchu. W końcu sprzedała dziewięć biletów. Resztę kupił ojciec dla nas i dla panny Black, z którą udaliśmy się na koncert.

Było to strasznie daleko. Najpierw pojechaliśmy koleją, potem tramwajem, a potem trzeba było iść spory kawał. Noc była ciemna i straszne błoto. Gdyśmy szli, prawie że po omacku, Ala stąpnęła na jakieś zawiniątko, podniosła je. Przy świetle latarni zobaczyliśmy, że było to pięć szylingów zawiniętych w gazetę.

— Pewno to jest cały majątek jakichś biedaków — westchnęła Ala. — Musimy natychmiast odnieść na policję.

Ale panna Black uważała, że nie ma na to czasu, żeśmy się i tak spóźnili na koncert, i Ala schowała tymczasem pieniądze i papier do kieszeni.

O koncercie nie powiem nic ponad to, że był bardzo piękny. Pewno, czytelnicy moi, zdarzyło wam się w zaraniu waszej młodości być chociaż raz jeden na takim koncercie, który podnosi na duchu.

Po skończonym koncercie urządziliśmy wraz z panną Black, że pójdziemy za małe niebieskie papierowe drzwi obok sceny, poszukamy pana Sandala i wręczymy mu pięć szylingów. Zdawało się nam, że może będzie wiedział, kto zgubił pieniądze. Pan Sandal był bardzo zajęty, ale pieniądze wziął i powiedział, że gdy się ktoś zgłosi po nie, da nam niezwłocznie znać...

Wróciliśmy do domu, śpiwając wesoło i nic nie wiedząc, cośmy z sobą zabrali.

Dopiero po kilku dniach, a może nawet po tygodniu wszystko zmieniło się na gorsze. Ala, która jest żywa i wesoła jak chłopak, płakała i mazała się o byle głupstwo. Wszyscy byliśmy okrutnie przeziębieni, zakatarzeni i głowy nas bolały. Oswaldowi było tak niemożliwie gorąco, że głowę przykładął do kamiennych schodów, ażeby się trochę ochłodzić.

Ale po cóż przedłużać przykre opowiadanie? Przynieśliśmy z sobą odrę. Przyszedł doktor, wszystkim kazał położyć się do łóżka i na jakiś czas przerwały się wszelkie poszukiwania przygód.

Oczywiście kiedy się choroba przesili i kiedy zaczyna się rekonwalescencja, zapomina się prędko o przeżytych cierpieniach — ale podczas gorączki, gdy skóra jest czerwona, swędzi i boli, wtedy uważa się, że koncert był zbyt drogo opłacony!

Pan Sandal był u ojca tego samego dnia, w którym pomaszerowaliśmy do łóżka. Znalazł właściciela pięciu szylingów. Były to pieniądze przeznaczone dla doktora, niósł je ojciec dziecka chorego na odrę. Gdybyśmy byli te pieniądze odnieśli na policję natychmiast, Ala nie miałaby ich w kieszeni podczas całego koncertu, lecz nie chcę powiedzieć nic złego o pannie Black, gdyż pielęgnowała nas podczas choroby jak anioł i czytała na głos, gdyśmy się już czuli lepiej.

Po wyzdrowieniu byliśmy bladzi i mizerni. Tatuś postanowił wysłać nas nad morze. Nie mógł jechać z nami, więc postanowiono, że czas ten spędzimy u siostry pana Sandala mieszkającej nad morzem.

Podróż była bardzo przyjemna. Ojciec wziął dla nas osobny przedział, w którym rozsiedliśmy się wygodnie.

Cudna to była chwila, gdy pociąg wjechał w tunel, a następnie po długiej, długiej chwili znalazł się na szmaragdowej łące, którą od nieba odgraniczał srebrnoszary pasek. My, starsi, przypomnieliśmy sobie, że byliśmy po raz ostatni nad morzem jeszcze za życia mamy. Zrobiło nam się smutno i ciężko na sercu. Młodszy krzyczeli z zachwytem.

Ze stacji do domu pojechaliśmy omnibusem. Widzieliśmy po drodze pierwiosnki i mnóstwo fiołków. Nareszcie znaleźliśmy się przed domem panny Sandal. Stał przy drodze, przed wioską. Domek był niewielki, cały biały, a za nim widać było wielki wiatrak. Wiatrak był nieczynny i tylko rybacy przechowywali w nim swoje sieci.

Panna Sandal wyszła przez zielone drzwi na nasze przywitanie. Nosila miękką, jasną suknię i miała takie same miękkie, płowe włosy, ściągnięte na tyle głowy.

— Witajcie wszyscy razem i każdy z osobna — rzekła miękkim głosem.

Przypominała bardzo swojego brata. Wprowadziła nas do mieszkania, pokazała nam jadalnię i nasze pokoje, a potem zostawiła nas, ażebyśmy się mogli umyć i oczyścić z drogi. Gdy wyszła, otworzyliśmy drzwi od naszych pokoi z hałasem, który przypominał szum największych rzek amerykańskich.

— Cóż? — zapytał Oswald. — Co wy na to?

— Jaka śmieszna chałupa! — rzekł Dick.

— Wygląda na ochronkę lub szpital — zauważyła Dora — bardzo mi się podoba.

— Przypomina łysinę starszego pana — powiedział H. O. — tak tu jest pusto.

Miał rację. Ściany były tynkowane na biało, meble białe i białe podłogi. W całym domu nie było ani jednej ozdoby! W jadalni wisiał zegar, ale przecież nie służył za ozdobę. Wisiało sześć obrazów brunatnego koloru. Jeden z nich przedstawiał ociemniałą dziewczynkę, trzymającą w ręce złamane skrzypce. Obraz ten nazywał się: Nadzieja.

Kiedyśmy się umyli, panna Sandal dała nam podwieczorek i powiedziała:

— Zasadą mojego domu jest: skromne życie i wzniosłe myśli.

Kilku z nas złękło się, gdyż zdawało się nam, że słowa te znaczą, że nie będziemy mieli dosyć do jedzenia. Na szczęście nie było tak. Było mnóstwo do jedzenia, przeważnie mleko, ser, jarzyny i owoce. Bardzo nam to smakowało.

Panna Sandal była dla nas bardzo uprzejma. Po podwieczorku zaproponowała nam, że będzie czytać na głos. Zamieniliśmy ze sobą rozpaczliwe spojrzenia, ale nikt nie miał odwagi odezwać się.

Tylko Oswald rzekł bardzo grzecznym głosem:

— Czy nie sprawiłoby pani różnicy, gdybyśmy przedtem pobiegli nad morze? Po-nieważ...

A ona odpowiedziała:

— Idźcie, moje dzieci. Idźcie się przytulić do łona natury.

Spytaliśmy o drogę, pobiegliśmy przez wieś ku wałowi nadbrzeżnemu i z okrzykami radości rzuciliśmy się na piasek.

Autor nie będzie was zanudzał opisami oceanu, wspaniałych fal i tak dalej, i tak dalej. O ile nie widzieliście morza, to czytaliście o nim w innych powieściach.

Wiecie też zapewne, że nie ma większej przyjemności, jak kopanie w piasku i budowanie zamków, kanałów, ogródków, statków, które dopiero po odejściu zmywa fala. I nic więcej nie powiem ponad to, że kiedyśmy patrzyli na morze i piasek, uczuliśmy, że wcale nas nie wzrusza, czy panna Sandal myśli o nas wzniosłe i każe nam skromnie żyć. Mieliśmy dla siebie morze i piasek.

Była zbyt wczesna pora roku i zbyt późna pora dnia na kąpiel, więc kopaliśmy tylko — co zresztą wychodzi na jedno, gdyż i tak się jest zmoczonym, i trzeba potem zmieniać ubranie.

Już zmierzch zapadał, gdy wróciliśmy do Białego Domku na kolację. Dowiedzieliśmy się, że panna Sandal nie ma służącej. Pomogliśmy jej sprzątnąć ze stołu i pomyć naczynia. H. O. stłukł tylko dwie podstawki.

W ciągu pierwszego tygodnia nie zaszło nic godnego uwagi. Poznaliśmy kilku rybaków i mnóstwo mieszkańców wsi. Bardzo mili ludzie. Panna Sandal czytywała nam wiersze i historię o pewnym rybaku, który umiał hipnotyzować ryby, tak że same wpadały do sieci.

Panna Sandal była bardzo miła, ale brakowało jej tego samego, czego i Białemu Domkowi, i nagim ścianom, nie wiem, jak to określić. Panna Sandal była bardzo cierpliwa i bardzo spokojna, mówiła, że ludzie, którzy tracą panowanie nad sobą, nie są zdolni do wzniosłych przeżyć.

Ale pewnego dnia nadszedł telegram i panna Sandal straciła panowanie nad sobą. Była taka sama jak inni ludzie i podczas gdy szukała pieniędzy na wysłanie odpowiedzi, kazała H. O. wynieść się i nie płać pod nogami.

A potem powiedziała do Dory (gdy mówiła, oczy miała czerwone i opuchnięte z płaczu, tak jak zwykli ludzie):

— Moja kochana! To straszne! Brat mój miał wypadek, muszę natychmiast pojechać do niego.

Panna Sandal posłała Oswalda po bryczkę do hotelu „Pod Starym Okrętem”, a dziewczęta do pani Bil¹⁸, ażeby przyszła zająć się nimi pod jej nieobecność. Potem ucałowała nas i odjechała z ciężkim sercem. Dowiedzieliśmy się potem, że pan Sandal wszedł na jakieś rusztowanie, ażeby rozdać mularzom¹⁹ książeczki, w których była mowa o zgubnym nałogu pijaństwa. Wszedł tak nieszczęśliwie, że spadł, złamał rękę i zranił się w głowę.

Pani Bil przyszła i pierwszą rzeczą, jaką się zajęła, było kupienie wspaniałego mięsa, które upiekła na obiad. Smakowało nam bardzo, gdyż od chwili przyjazdu nie mieliśmy w ustach kawałka mięsa.

— Pewno jej nie stać na dobre mięso — rzekła pani Bil — ale wasz tatuś płaci za was i byłoby mu przykro, gdyby się dowiedział, że nie jecie nic przyzwoitego.

I pani Bil zrobiła nam wspaniałą leguminę. Była znakomita.

Po obiedzie siedzieliśmy nad brzegiem morza, pokrzepieni na ciele, a Dora rzekła:

— Biedna panna Sandal! Nie pomyślałam dotychczas ani razu, że jest tak uboga. Gdybyśmy tak mogli uczynić coś dla niej i przyjść jej z pomocą.

— Może chodzić i śpiewać na ulicy — powiedział Noel.

Pomysł był nieszczęśliwy, po pierwsze dlatego, że we wsi jest tylko jedna ulica, a po drugie, mieszkańcy tej wsi nie są zamożni i nic byśmy nie zebrali dla panny Sandal.

Dora powiedziała, że może by napisać do ojca, by przysłał trochę pieniędzy dla panny Sandal, ale obawialiśmy się, że nie przyjmie takiej zapomogi.

Wtedy jednemu z nas, nie powiem komu, przyszła szczęśliwa myśl do głowy.

Powinna się zająć wynajmowaniem pokoi, słyszałem, że to przynosi doskonałe dochody.

I to był początek wszystkiego. Tego samego wieczoru znaleźliśmy jakieś tekturowe pudło, wycięliśmy z niego tabliczkę i umieściliśmy na niej napis różnokolorowymi kredkami:

MIESZKANIE DO WYNAJĘCIA

(wiadomość na miejscu)

Kładąc się spać, wywiesiliśmy tabliczkę przed drzwiami.

Kiedy nazajutrz rano Oswald rozsunął firanki i wyjrzał przez okno, dostrzegł całą gromadę dzieci przyglądających się karcie. Pani Bil wyszła przed dom i w ciągu jednej chwili rozpędziła wszystkich. Chociaż nie powiedzieliśmy jej dnia poprzedniego o naszych zamiarach, nie była wcale zdumiona i o nic nas nie spytała. Nigdy w życiu nie widziałem osoby podobnej do pani Bil. Nie wtrącała się do nie swoich rzeczy. Później mówiła, że sądziła, iż panna Sandal poleciła nam wywiesić kartę.

Minęło kilka dni i nic nowego nie zaszło, otrzymaliśmy tylko dwa listy: jeden od panny Sandal, która opisywała wypadek i cierpienia biednego brata, drugi od ojca, w którym prosił, ażebyśmy byli grzeczni i rozsądni.

Ludzie, którzy mijali Białą Dom, czytali naszą kartę i śmieli się.

Któregoś dnia przejeżdżała około naszego domu piękna bryczka. Pan jadący tą bryczką, uderzony wspaniałym tęczowym napisem, zatrzymał się i wysiadł z bryczki.

Był blady, miał siwe włosy i bardzo jasne oczy. Nosił nowy garnitur w kratkę, w którym mu było do twarzy.

Zanim zdążył zastukać do drzwi, Ala i Dora zawołały „proszę” (autor ma pewne dane przypuszczać, że serca im biły mocno).

— Ile? — rzekł krótko pan.

Ala i Dora były zaskoczone nagłością pytania i zaczęły się jękać.

Wtedy Oswald wysunął się na pierwszy plan i rzekł:

— Może pan wejdzie.

— Owszem — odpowiedział pan i wszedł.

Wprowadziliśmy go do jadalni z prośbą, ażeby zaczekał chwilę, i odbyliśmy za drzwiami wałną naradę.

¹⁸Bil — w oryginale ang.: Beale.

¹⁹mularz (daw.) — murarz.

— Zależy od tego, ile pokoiów zażąda — szepnęła Dora.
— Powiedzmy mu tyle a tyle za pokój i dodatek, jeżeli będzie chciał, ażeby mu pani Bil gotowała.

Zgodziliśmy się na ten projekt.

Wróciliśmy do pokoju.

— Ile pokoiów pragnie pan wynająć? — zapytał Oswald.

— Wszystkie pokoje — odrzekł pan.

— Od pokoju bierzemy po funcie tygodniowo i dwa funty dla pani Bil.

— Ile pokoiów jest w sumie i ile to ma kosztować?

Oswald namyślał się chwilę, a potem rzekł:

— Dziewięć pokoiów to dziewięć funtów, a dwa funty dla pani Bil, ponieważ jest wdową.

— Zrobione! — odrzekł pan. — Pójdę po moje kufry.

Wybiegł z pokoju, wsiadł na bryczkę i odjechał. Gdy już był bardzo daleko, Ala zapytała:

— Gdzież my się podziejemy? Gdzież my będziemy spać?

— On musi być szalenie bogaty, jeżeli mu potrzeba aż tylu pokoiów — zauważył H. O.

— Gdyby był nawet najbogatszy, to także nie może spać w dwóch pokojach naraz — powiedział Dick — możemy poczekać, póki się nie położy, a potem pójdziemy spać do innych pokoiów.

Lecz Oswald był stanowczy. Wiedział, że skoro pan zapłacił za wszystkie pokoje, to nam nie wolno z nich korzystać.

— Przecież nie będzie spał w kuchni — rzekła Dora — więc może my spalibyśmy w kuchni?

Pomysł ten nie podobał się żadnemu z nas.

Wtedy Ala powiedziała:

— Słuchajcie! Możemy nocować w młynie. Jest tam cała masa siatek, które rybacy suszą. Zrobimy sobie prawdziwe legowisko, takie, jakie mają Indianie. Położymy się spać po odejściu pani Bil i wstanjemy przed jej przyjściem.

Pomysł był wspaniały. Jedynie Dora obawiała się, że zmarzniemy.

Pobieśliśmy natychmiast do młyna, ażeby sobie przygotować nocne posłanie.

W młynie są trzy piętra, na pierwszym jest mnóstwo sieci, na drugim — pełno kamieni młyńskich, na trzecim — sznury i pasy.

Postanowiliśmy, że dziewczęta będą spać na pierwszym piętrze, a my rozepniemy sieci na drugim piętrze.

Przenieśliśmy cichaczem naszą pościel do młyna i wróciliśmy do domu.

Po chwili zjawił się pan, nie miał żadnych kufrów, tylko małą ręczną walizkę.

Pani Bil wyszła na jego przywitanie. Powiedzieliśmy jej, że wynajął pokoje, ale nie powiedzieliśmy ile, gdyż obawialiśmy się, żeby nam nie zabroniła spać w młynie — a przecież było to konieczne dla poprawienia bytu biednej panny Sandal.

Na kolację kazał sobie podać nasz lokator głowę barania w galarecie i szpinak. Ale nie było w całej wsi ani jednej głowy baraniej w galarecie. Nie było też szpinaku i pani Bil usmażyła mu jajecznicę z szynką.

Potem pani Bil pomyślała statki i odeszła do domu. Pozostaliśmy sami. Słyszeliśmy z drugiego pokoju, jak śpiewał na cały głos wesołe piosenki.

Potem wzięliśmy latarkę i cichaczem przeszliśmy do młyna. Zdecydowaliśmy się spać w ubraniach, po pierwsze dlatego, że było nam zimno, a po drugie, przypuszczaliśmy, że rybacy mogą przyjść po swoje sieci. Czasem podczas pięknej pogody odbywa się nocny polów.

Dziewczętom pozostawiliśmy latarkę, a sami wzięliśmy świeczkę i udaliśmy się na wyższe piętro. Było tam bardzo niewygodnie pośród młyńskich kamieni, lin i całej maszynerii. Ucieszyliśmy się bardzo, gdy Dora zawołała:

— Niech przyjdzie tu jeden z was na chwilę.

Oswald zbiegł na dół, a Dora szepnęła mu na ucho:

— Jest trochę niewygodnie, ale to nie szkodzi. Nie chcę mówić na głos przez wzgląd na Noela i H. O. Nie chcę ich nastraszyć, ale sama się boję. Gdyby tak wyskoczył ktoś

z ciemności, umarłabym z przerażenia. Może się wszyscy przeniesiecie na dół? W sieciach jest dosyć miejsca, proszę cię, zawołaj ich.

Ala nie bała się, lecz na myśl o szczurach, które się gnieźdzą w starych zamkach, płakała z przerażenia.

Chłopcy zgodzili się na przeniesienie. Zeszliśmy na dół i rozciągnęliśmy się w siatkach.

Spanie w młynie nie jest tak zabawne, jakieśmy to sobie wyobrażali. Nie mieliśmy poduszek pod głowę, a ostre i twarde sieci wgryzały nam się w głowę i ciało.

Po twarzy chodziły jakieś wstrętne pająki, więc trzeba było co chwila zapalać światło i odpędzać je. Przeciąg był straszny i marzliśmy pod derkami, które co chwila zsuwały się z nóg.

Oswald nie należy do wygodnisiów, a jednak żałował, że nie ułożyliśmy się do snu w kuchni. Przecież nasz lokator nie wziąłby nam tego za złe.

Usnęliśmy w końcu. Podczas nocy siostrzyczki tak się do nas poprzytulały, że o świetle stanowiliśmy jedną masę ciał. Istne pobojuwisko.

— Jestem taka sztywna! — zawołała Ala. — Sztywna jak świeżo ukrochmalony kołnierzyk.

Wszystcyśmy byli sztywni.

— Mnie się zdaje, że młyn do spania to zły wynalazek — powiedział H. O. — nie można się umyć ani uczesać.

— Od kiedy jesteś takim amatorem mycia i czesania? — zapytał Dick.

— Dicku, nie bądź nieznośny — ujęła się Dora.

— Sama jesteś nieznośna — odburknął Dick.

Wszystcyśmy byli w okropnych humorach, źli, skrzywieni, przemarznięci i strasznie brudni. O wschodzie słońca opuściliśmy naszą sypialnię. Zimno było.

— Nigdy już w moich poezjach nie będzie mowy o wschodzie słońca — rzekł Noel — nie podoba mi się ani świt, ani wschód słońca, człowiek marznie i nic więcej.

Dostaliśmy się do kuchni, wyszorowaliśmy się porządnie i Ala rozpałała ogień. Ugotowaliśmy herbatę i jajka. Dora wyciągnęła resztkę chleba i poprawiły się nam humory. Spojrzeliśmy na zegar. Było dopiero wpół do szóstej.

Trzeba się było zamknąć w którymś pokoju aż do przyjścia pani Bil. Ale w którym?

— Będziemy podsłuchiwać pod wszystkimi drzwiami, dopóki nie usłyszymy jego chrapania — rzekła Ala — i zaczekamy w sąsiednim pokoju.

Lecz w żadnym sypialnym pokoju nie rozlegało się chrapanie.

— A może to był złodziej i udawał, że wynajmuje mieszkanie, a potem zbiegi z kosztownościami — powiedział H. O.

— Przecież nie ma tu żadnych kosztowności — odparł Noel.

— A może nie chrapie podczas snu? — zastanowił się Oswald. — Są podobno ludzie, którzy nie chrapia.

— Ale nie starsi panowie — rzekł Noel — pomyślcie o naszym wujku. H. O. myślał początkowo, że to jest niedźwiedź.

— A może wstaje o świcie i dziwi się, że mu nie podają śniadania — powiedziała Ala.

Zaczęliśmy nadśłuchiwać przed jadalnią. Nie było w niej nikogo; z gabinetu panny Sandal dochodziły dźwięki tej samej piosenki, którą nieznajomy nucił poprzedniego wieczoru.

Weszliśmy do jadalni, ażeby poczekać na panią Bil i naszego lokatora. Lecz to, co się ukazało oczom naszym, wprawiło nas w największe zdumienie! Zapomnieliśmy — jak to się mówi — języka i stanęliśmy oniemieli.

Czytałem już w książkach „o ludziach, którzy nie wierzyli oczom swoim” i zdawało mi się, że są to głupstwa, ale doprawdy, wchodząc do jadalni autor nie wiedział, czy śni, czy też stoi wobec rzeczywistości.

— Odsłońcie franki! — zawołała Ala.

Odsłoniliśmy franki. Pragnę, ażeby czytelnicy byli na równi ze mną zdziwieni.

Wczorajszego wieczoru ściany jadalni były śnieżnobiałe. Teraz były pokryte wspaniałymi różnokolorowymi obrazkami. Jakieś cudowne gwiazdy, barwne kwiaty.

— Jak pięknie — zawołała Ala — co za pocciwy człowiek! Jak nam ozdobił mieszkanie.

— Spójrzcie na tego anioła — pokazał Noel — muszę coś o nim napisać.

Anioł był śliczny, cały w szarym tonie z olbrzymimi złotymi skrzydłami, a obok niego fruwały małe ptaszki, wróżki, także ze skrzydłami, skrzydlate psy i ryby. Wszystko miało skrzydła, nawet wspaniały koń, zeskakujący z wysokiej wieży wprost do morza. Jakże żalowaliśmy, że lokator nie namalował tego wszystkiego we własnym naszym domu!

Podczas gdyśmy stali przed ścianą pełni zachwytu i podziwu, otworzyły się drzwi z sąsiedniego pokoju i ujrzelśmy naszego lokatora. Był zasmażony farbami, a w ręce trzymał coś z drutu i papieru.

— Chcielibyście fruwać? — zapytał nas.

— Owszem — odpowiedzieli wszyscy.

— Dobrze więc, mam tutaj znakomitą maszynę do fruwania. Przypnę ją któremuś z was do ramion, a wtedy ten, który będzie mieć skrzydła, wyskoczy przez okno z pierwszego piętra. Nie macie pojęcia, jaką przyjemność sprawia fruwanie!

Powiedzieliśmy, że nie pragniemy wcale przekonać się o tym.

— Ale ja nalegam — mówił lokator. — Wasze dobro leży mi na sercu. Nie mogę dopuścić, ażebyście w waszej nieświadomości odrzucili jedyną być może sposobność nauki fruwania.

Znowu daliśmy odmowną, ale też i uprzejmą odpowiedź. Przyznać muszę, że czuliśmy się nieswojo.

— A więc zmuszę was! — krzyknął chwytając Oswalda za ramię.

Wtedy Dora, blada jak trup, rzekła głosem słodkim i miłym:

— Zdaje mi się, że fruwanie sprawi nam wielką uciechę. Nie byłby pan łaskaw pokazać mi, jak wygląda pańska maszyna?

Lokator puścił Oswalda i podczas gdy zaczął pokazywać swoją maszynę, Dora szepnęła: „uciekajcie”. Wtedy wysunęliśmy się cichaczem; ostatnia wypadła Dora i drzwi zamknęła na klucz.

— Do młyna! — krzyknęła Dora i pobiegliśmy jak szaleni. Zabarykowaliśmy drzwi, wbiegliśmy na drugie piętro i tam stanęliśmy przy oknie, ażeby ostrzec panią Bil, gdy będzie szła do Białego Domku.

Powiedzieliśmy Dorze, że była po prostu genialna, a Noel nazwał ją bohaterką.

— To nie było nic nadzwyczajnego — powiedziała Dora, zanim się rozplakała — tylko przypomniałam sobie, że przeczytałam w jakiejś książce, że jeżeli się ma do czynienia z wariatem, to trzeba udawać wesołość i zgadzać się z nim. Wiedziałam od razu, że zwariował. Co za szczęście, że nie wyrzucił nas wszystkich przez okno. Co by zrobił biedny tatuś? O Boże, mój Boże! — i Dora rozbeczała się na dobre.

Byliśmy dumni z naszej siostry. Dokuczamy jej czasem, ale dzielna z niej dziewczyna.

Postanowiliśmy pierwszą osobę, która będzie przechodziła przez ulicę, zawołać i poprosić o pomoc. Ze spółniczki Ali zrobiliśmy sygnał.

Niebawem ujrzelśmy dwóch panów w powozie. Daliśmy im znak spółniczką Ali. Zatrzymali konie, a jeden z nich podszedł do młyna.

Opowiedzieliśmy mu historię o lokatorze i jak pragnął, ażebyśmy skakali przez okno.

— W porządku — rzekł pan, który podszedł do młyna, a zwracając się do swojego towarzysza w powozie dodał: — Mamy go!

Pan wyszedł z powozu i podszedł do nas, podczas tego drugi wszedł do wnętrza domu.

— Chodźcie ze mną, młode panie i panowie; jest łagodny jak jagnię. On sądzi, że skakanie z okna nie może nikomu zaszkodzić. Myśli, że to jest prawdziwe fruwanie. Jak tylko zobaczy doktora, uspokoi się natychmiast.

Pytaliśmy, czy już był dawniej pomyłony na umyśle, czy też zwariował nagle.

— O tak, od czasu gdy zleciał z samolotu, wszystko mu się pokręciło w głowie. Był wielkim artystą malarzem, a teraz maluje obrazy, na których wszystko fruwa. Od czasu do czasu przychodzi mu ochota uczenia fruwania. Biedny człowiek z tego pana Sidneya. Jestem właśnie jego opiekunem.

— A jak uciekł przed panem? — zapytała Ala.

— Z jego bratem zdarzył się straszny wypadek: spadł z rusztowania. Pan Sidney był tak zmartwiony i tak ścisnął swojego nieprzytomnego brata, żeśmy byli wzruszeni! Tymczasem pan Sidney wyciągnął bratu portmonetkę, złapał walizkę i uciekł. Byliśmy na razie zajęci ratowaniem pana Eustachego i dopiero po jakimś czasie zauważono nieobecność pana Sidneya. Posłaliśmy więc natychmiast po doktora Bakera. Doktor powiedział od

razu, że chory wrócił na miejsce, gdzie spędził dzieciństwo. Okazało się, że doktor ma rację.

Zbliżyliśmy się do Białego Domku. Wyszedł zeń doktor i pan Sidney, który był w najlepszym humorze, i zajął miejsce w powozie.

— Ależ, panie doktorze — rzekł Oswald — on przyrzekł nam, że będzie płacić dziewięć funtów tygodniowo. Czy nie jest to jego obowiązkiem?

— Z tego samego, że się zgodził na wasze żądanie, mogliście byli się domyślić, że zwariował — odrzekł doktor — i dlaczego miałby płacić za mieszkanie w domu siostry? Jazda!

Odjechali.

Przykra to była przygoda z pomyłonym panem. I żał mi było biednej panny Sandal. Oswald powiedział swoim siostrą, że powinny być wdzięczne przeznaczeniu, że nie mają obłąkanych braci.

IV. ZEMSTA PRZEMYTNIKA

Mijały dni, a panna Sandal nie wracała do domu. Żał było nam jej serdecznie i martwił się bardzo, że projekt wynajęcia mieszkania się nie udał. Panna Sandal jest bardzo porządną osobą, bo zdaje się nie pisała o tym do ojca. W każdym razie nie otrzymaliśmy od tatusia żadnego listu z naganą.

Nie lubimy rezygnować z raz powziętych zamiarów. Nie udało nam się wzbogacić panny Sandal przez wynajmowanie pokoi, ale mógł się przecież znaleźć jakiś inny sposób. Mówiliśmy o tym, bawiąc się na morskim wybrzeżu. Chodziliśmy bardzo często do domku straży nadbrzeżnej. Ze strażnikami zaprzyjaźniliśmy się jeszcze więcej niż z rybakami, ponieważ rybacy byli przeważnie na morzu, a strażnicy mieli dużo wolnego czasu i opowiadali nam historie o portach południowych, odległych podróżach, dzielnych oficerach i odważnych marynarzach. Nie chcieli nam opowiadać o przemytnikach.

— Prawdopodobnie boją się mówić dzieciom — rzekł Dick — o strasznych zbrodniach, jakie popełniali przemytnicy.

— Tak — dodała Ala — nie wiedzą wcale, ileśmy się nasłuchali o przemytnikach, korsarzach, rozbójnikach, rzezimieszkach — i Ala westchnęła.

— Możemy w każdym razie zabawić się w przemytników — powiedział Oswald. Ale zabawa się nie udała, bo im człowiek robi się starszy, tym bardziej pragnąłby przeżyć coś naprawdę, a wszystko „na niby” staje się niewystarczające.

O przemytnikach dowiedzieliśmy się od pewnego starego człowieka. Wybraliśmy się któregoś dnia na dalszy spacer i tam ujrzeliśmy starego rybaka, siedzącego na łodzi wywróconej do góry dnem. Palił jakiś straszny tytoń.

Przywitaliśmy się z nim bardzo grzecznie i Ala zapytała:

— Pozwoli pan usiąść przy sobie?

— Owszem.

Zapanowało przykre milczenie. Nie wiedzieliśmy, od czego zacząć rozmowę z siwobrodym rybakim. W końcu wyjął fajkę z ust i rzekł:

— Po cóżecie tu przyszli? Chyba nie po to, ażeby się przyjrzeć, jak wyglądam.

— Pan bardzo dobrze wygląda — powiedziała Dora.

— Panienska też — brzmiała uprzejma odpowiedź.

— Mamy wielką ochotę porozmawiać z panem — odezwała się Ala.

— No, to mówcie — rzekł rybak.

I wtedy, jak to się często zdarza, nie mieliśmy nic do powiedzenia.

Noel przerwał kłopotliwe milczenie.

— Mnie się zdaje, że nie tylko wygląda pan dobrze, ale nawet bardzo interesująco, jak gdyby pan był kiedyś rozbójnikiem morskim.

— Nigdy w życiu — odpowiedział stary rybak bardzo urażonym głosem. — Byłem w marynarce póty, póki nie straciłem jednego oka podczas walki. Rozbójnicy morscy zasługują na śmierć.

Przykro nam było, że się wyrażał tak nieprzychylnie o rozbójnikach morskich, dla których żywimy niekłamaną sympatią. Tylko Dora rzekła:

— Tak jest, rozbójnicy morscy są bardzo źli, tak samo jak inni zbóje i przemytnicy.

— Niewiele wiem o zbójach — odrzekł stary człowiek. — Nigdzie za moich czasów nie można było spotkać zbójów. Miałem w rodzinie jednego zbóję, brata rodzzonego mojej prababki, ale go powieszono! Był z niego podobno dzielny chłop, umarł młodo.

— Szkoda — westchnęliśmy wszyscy prócz Dory.

— A znał pan jakiegoś przemytnika? — zapytał H. O. — To jest, czy znał pan osobiście?

— To inna rzecz — rzekł stary i mrugnął na nas okiem.

Zrozumieliśmy od razu, że straż nadbrzeżna myliła się, gdy twierdziła, że nie ma przemytników. Stary wiedział coś o nich, ale bał się zdradzić przed nami swoich znajomych, a może nawet przyjaciół. Nie wiedział, jak bardzo życzliwie jesteśmy usposobieni względem przemytników.

Oswald rzekł:

— Kochamy przemytników. Może nam pan śmiało o nich opowiadać.

— Było mnóstwo przemytników za czasów młodości mojego ojca. Rodzony kuzyn mojego ojca był przemytnikiem. Powodziło mu się znakomicie. Ożenił się. Wyobraźcie sobie, że w dniu ślubu prosto od ołtarza zaprowadzono go do więzienia.

— Biedna kobieta — westchnęła Ala — cóż ona zrobiła?

— Nic nie zrobiła — odparł stary marynarz — kobiety nie są od tego, ażeby coś robić; nie na darmo zajmował się przemytnik swoim uczciwym rzemiosłem; dorobił się przyzwoitego zajazdu, w którym gospodarowała żona. Czekala cierpliwie na męża, wiedziała, że taki nie zginie. Otóż w trzy tygodnie po ślubie zajechał przed „Odgłos Dzwonów”, tak zwał się zajazd, jakiś człowiek pokryty kurzem.

— Dalej! Niech pan dalej mówi! — zawołaliśmy z najwyższym zaciekawieniem.

— Zakurzony był i obłocony, miał długą, czarną brodę i kapelusz głęboko nasunięty na czoło. Wszedł do karczmy; było to po obiedzie i w karczmie nie było nikogo prócz żony.

— „Dzień dobry pani — rzekł przybysz — proszę o pokój dla spokojnego człowieka”.

„Nie przyjmuję mężczyzn na nocleg” — odrzekła ona.

„Ale mnie pani przyjmie” — powiedział on.

„Ani mi się śni” — powiedziała ona.

Wtedy on zerwał swoją brodę i kapelusz i oczom jej ukazał się jej własny pan młody, którego z kościoła zabrali do więzienia. Został więc u siebie. W dzień pracował jako robotnik i chodził z przyprawioną brodą, a nocą zajmował się przemytnictwem.

Podobała nam się niezmiernie ta historia.

Oswald zapytał:

— Czy teraz nikt się już nie zajmuje przemytnictwem?

— O nie — odpowiedział pośpiesznie stary marynarz — w każdym razie nie w tej okolicy. Ale znam pewnego młodego mężczyznę — jest bardzo młody i ma niebieskie oczy — w okolicy Sunderlandu... Przemyczał właśnie trochę tabaki, a tu na niego wyskakuje strażnik. Zaklął więc w duchu, ale głośno zawołał:

„To ty, Jacku? Jak się masz?”

„Co masz w tym zawiniątku?” — pyta strażnik.

„Trochę brudnej bielizny i parę starego obuwia”.

Wtedy strażnik, ażeby wypróbować młodego człowieka, mówi:

„Daj mi twój tobołek, pomogę ci go nieść.”

A z przemytnika spryciarz nie lada. Myśli sobie: jak nie dam, to mnie zaciągnie do więzienia, jak dam, kto wie, może nie zajrzy nawet. I podał tobołek strażnikowi, a strażnik zaraz mu uwierzył, pomógł odnieść tobołek aż do domu, przepraszając starego człowieka, że go niesłusznie posądził. Ale to się nie zdarzyło w tej okolicy, nie, nie.

Właśnie Dora chciała zadać pytanie, czemu mówił, że strażnik przepraszał starego człowieka, bo przecież na początku była mowa o młodym mężczyźnie, który miał niebieskie oczy, gdy zjawił się jakiś strażnik.

Kazał nam wstać z łodzi i obrzucił chmurnym spojrzeniem. Nasi strażnicy z naszej wsi są znacznie miłsi.

W powrotnej drodze Ala wzięła starego marynarza za rękę i szła z nim razem.

— Czemu — zapytała Ala — ten strażnik był taki niegrzeczny?

Kobieta

— Bo ci strażnicy nie robią nic prócz podejrzewania uczciwych ludzi o zajmowanie się przemytnictwem.

Rozstaliśmy się z naszym nowym znajomym w największej przyjaźni. Mieszka poza wsią, w małym domku i zajmuje się hodowlą świń.

Nigdy byśmy nie zapalali antypatii względem tego wstrętnego strażnika, ale wyobraźcie sobie, któregoś dnia, gdyśmy byli w domku straży, rozmawiając z naszymi strażnikami, wszedł ów obcy strażnik i zapytał, czemu to się pozwala bandzie łobuzów kręcić między strażą.

Z godnością, bez słowa opuściliśmy domek straży. Wieczorem, w łóżku, Oswald rzekł do Dicka:

— A gdyby tak dać jakieś zajęcie temu strażnikowi?

Dick ziewnął i odpowiedział, że nie rozumie.

— Chciałbym zostać przemytnikiem — powiedział Oswald — możesz śmiało zasnąć, nie jesteś mi potrzebny. Zamiast ciebie pójdzie ze mną Ala.

— Mów, bracie! — zawołał Dick, zupełnie już ze snu wybity.

— Może byśmy zostali przemytnikami?

— Bawiliśmy się już w to dosyć często.

— Nie idzie o zabawę, ale o prawdziwe przemytnictwo. Kto wie, może w ten sposób uda nam się wzbogacić pannę Sandal.

— Rzeczy, które się przemycą, są bardzo kosztowne — rzekł Dick.

— Mamy przecież trochę pieniędzy, które nam wczoraj przysłał wujaszek. Możemy więc pojechać do Francji na żaglówce, tam kupimy baryłkę albo worek czegokolwiek i wrócimy.

— Tak, tak, i wpakują nas do więzienia. Wcale mi się ten pomysł nie podoba. A zresztą, któż nas przewiezie?

— Ten stary marynarz, ale jeżeli się boisz... — powiedział urażony Oswald.

— Niczego się nie obawiam, tylko nie chciałbym siedzieć w kozie. Słuchaj, Oswaldzie, gdybyśmy tak wszystko zrobili na żarty? Gdybyśmy wzięli beczułkę, ale pustą albo ze zwyczajną wodą? Wtedy mogą nas nawet przyłapać, a my zakpiemy z tego strażnika, gdy w beczulce znajdzie czystą wodę.

Oswald zgodził się pod warunkiem, że beczułkę nazwiemy beczką wódki.

Przemytnictwo jest męskim zawodem: nie wtajemniczyliśmy dziewcząt, gdyż Ala mogłaby się uprzeć i pójść w męskim przebraniu, a tatuś tego nie lubi. H. O. i Noel są za mali na przemytników; wobec tego urządziliśmy jechać we dwóch.

Odwiedziliśmy starego marynarza i długo musieliśmy mu tłumaczyć, o co rzecz idzie i że pragniemy zakpić ze wstrętnego strażnika. W końcu rzekł do nas:

— Mam przyjaciela Benendena, który ma śliczną żaglówkę „Mary”, on często zabiera z sobą młodzież na nocny połów ryb, o ile rodzina młodzieży nie ma nic przeciwko temu. Napiszcie więc do ojca z zapytaniem albo poproście pana Charteris, ażeby napisał do ojca. Tak robią różne dzieci. Nie ma co wspominać o beczulce. Napiszcie tylko o połowie ryb.

Uczyniliśmy, jak powiedział. Pan Charteris jest tutaj pastorem, znamy go dobrze. Napisał do ojca, a tatuś dał nam odpowiedź natychmiast „jedźcie, ale bądźcie ostrożni i nie zabierajcie z sobą dziewcząt ani też małych”.

List pokazaliśmy dziewczętom. Ala była zrozpaczona, że nie pojedzie z nami, lecz powiedzieliśmy jej, że „mężczyźni muszą pracować, a kobiety mogą płakać”.

Zorganizowaniem naszej wyprawy zajął się stary marynarz. Na wyprawę wybrał ciemną noc. Z domu wyszliśmy o zmierzchu, bardzo ciepło ubrani, trzymając w ręce paczki z jedzeniem. Staraliśmy się przejść niespostrzeżenie, ale kilka osób zauważyło nas. Załogę żaglówki stanowili: stary marynarz, Benenden i jakiś rudy chłopak.

— Odbijać od brzegu! — zakomenderował Benenden.

Odbiliśmy. Oswald cieszył się tak bardzo, że nie był w stanie wyrazić swojej radości. Dickowi natomiast zrobiło się niedobrze i całą noc przeleżał w kabinie. Kabina była wstrętna, ciasna, brudna, czuć w niej było rybami, oliwą, woskiem i w ogóle duszno w niej było bardzo. Oswald tylko na chwilę zszedł do kabiny, ażeby się w niej posilić. Potem przyglądał się morzu i rybom, które podchodziły pod samą żaglówkę.

Robiło się późno i Oswald był już bardzo zmęczony i senny, gdy Benenden rzekł: „Otóż jest”.

Oswald w pierwszej chwili nic nie mógł dostrzec. Potem ujrzał zbliżającą się łódź. Podjechała do naszej. Ludzie z tamtej łodzi rozmówili się szeptem z naszą załogą, a potem podali do naszej żagłówki sporą beczkę.

Uradowało to niezmiernie Oswalda, gdyż lękał się, że nasza wyprawa, „wyprawa przemytników”, może się skończyć zwykłym nocnym połowem ryb.

Było coraz zimniej. Dick spał w kabinie, a Oswald siedział na pomoście, oparty o swoją beczkę.

Gdy się jest nocą samemu na morzu, świat staje się większy, szerszy i głębszy, niebo jest odleglejsze i większa jest otchłań.

Oddając się tym i tym podobnym rozmyśleniom, Oswald wreszcie usnął. Obudził go stary marynarz, trącając z lekka.

— Zajmij się, obywatelu, swoją beczką! Nie może tak sterczeć na górze, trzeba ją pchnąć pomiędzy ryby i sieci.

Oswald pchnął beczkę: zapach, który się rozchodził z beczki, wydał mu się podejrzany, pachniało prawdziwą wódką.

— Czy to aby na pewno sama woda? — zapytał Oswald.

— A cóż by to mogło być innego?

Znowu Oswald się zdrzemnął. Obudził się, kiedyśmy już dobili do brzegu. Wyskoczył na brzeg, ale po ziemi chodził jak pijany. Przypomnił sobie, że trzeba też obudzić Dicka.

Dick był wściekły na Oswalda, że pozwolił mu spać przez całą noc, nie widział połowu ryb, a zwłaszcza beczki z wodą.

— Śpiesz się, Dicku, a zobaczysz, jak się wyladowuje ryby.

Wychodząc z kabiny, usłyszeliśmy obce głosy, a wśród nich i głos tego wstrętnego strażnika.

— Nie żał wam snu, Stokes? — pytał stary marynarz.

— Nie żał mi niczego.

— A może byście chcieli z pół tuzina makreli? — rzekł Benenden.

— Dziękuję, nie jadam ryb.

— Czy przyszlście zobaczyć, jak będziemy wyladowywać ryby?

— Zbyt ciekawość.

Czekali bardzo długo. Wreszcie podjechał wózek, na który zaczęto ładować ryby. Benenden i pomocnik ładowali bardzo powoli i bardzo umiejętnie, tak żeby nie naruszyć kupki ryb zakrywających beczkę.

Strażnik zniecierpliwił się.

— Śpieszcie się i nie ukrywajcie prawdy! Musi wyjść na jaw. Już nas powiadomiono o wszystkim.

Stary marynarz, Benenden i rudy chłopak zrobili zdumione miny.

— O czym to, jeżeli można wiedzieć, powiadomiono was?

— Ano, że przemycacie wódkę. Czuję z tego miejsca.

Oswald wraz z Dickiem podeszli bliżej. Rzeczywiście czuć było ostry zapach alkoholu i brązowa beczka wyrzała spośród ryb.

— Otóż i ona! — zawołał strażnik. — Proszę opuścić łódź.

Wysiedliśmy, a stary marynarz, wzruszając ramionami, wyjął ostatnie ryby, a następnie beczkę.

— To jest ta beczka — rzekł jeden ze strażników — a gdzie reszta?

— Nie mamy nic więcej! — rzekł Benenden. — Jesteśmy biedni ludzie, musieliśmy postąpić według umowy.

— Dobrze, dobrze — odezwał się strażnik, któremu zamierzaliśmy zrobić „kawał” — musimy zrewidować całą łódź.

Zrozumiałem, że nasza załoga była przygotowana na podobne zajście. Zebrało się jeszcze więcej strażników, zdaje mi się, że miano nas zaprowadzić do domku straży.

Ale Dick miał już wszystkiego po uszy! On nie ma awanturniczego usposobienia, a morska choroba wpłynęła nań bardzo ujemnie.

Rzekł przeto:

— W tej beczce jest tylko woda.

Oswald miał ochotę zabić swojego brata!

— Aha — odpowiedział antypatyczny strażnik — myślicie, że nie mam nosa?

— A więc, proszę otworzyć i przekonać się — mówił Dick niebaczny na ostrzegawcze znaki Oswalda — tam jest woda.

— I ja mam uwierzyć, że jeździliście tak daleko po... czystą wodę? Nie macie tutaj dosyć wody?

— Ale to jest woda, woda francuska — wołał Dick wściekłym głosem — ta woda należy do mnie i do mojego brata. Prosiłiśmy tych rybaków, ażeby ją nam przewieźli.

— Rybacy — rzekł strażnik z przekąsem — chodźcie ze mną.

Stary marynarz ociągał się, ale Benenden szepnął, że wszystko w porządku (nikt tego nie słyszał prócz mnie i marynarza).

— A ja chcę iść do domu — upierał się Dick — nie pójdę z wami.

— I na cóż potrzebna wam była woda? — pytano Dicka. — Ażeby skosztować?

— Ażeby was poczęstować, jak nas będziecie wyrzucać z tej łodzi — odparł gniewnym głosem Dick.

Odpowiedział mu śmiech strażników.

Zdaje mi się, że miał tak anielski wyraz twarzy i tak niewinne spojrzenie, że strażnicy uwierzyli mu.

W każdym razie beczkę odkorkowano. Zaczęto wylewać z niej zawartość, była w niej woda, morska woda. Przyznał to nawet jeden ze strażników, który napił się pełną szklankę wody.

— Ale ma zapach wódki — rzekł wycierając usta.

Nasz stary marynarz wyjął z zanadru flaszkę i rzekł:

— Pozwólcie mi wziąć trochę tej wody, mieszałem czasem gorączkę i ta woda dobrze mi robi.

Znienawidzony strażnik rzekł:

— Znam ja te wasze gorączki.

Wróciliśmy do domu senni, ale w pysznych humorach. Żart nam się udał.

*

Gdy opowiedzieliśmy już wszystko naszym dziewczętom, gdy wysłuchaliśmy gorzkich wyrzutów, że mamy przed nimi swoje tajemnice — postanowiliśmy ofiarować staremu marynarzowi pięć szylingów za jego współpracę w naszym żarcie.

Początkowo nie chciał przyjąć. Powiedzieliśmy mu, ażeby za te pieniądze kupił prosiaka i nazwał go Stokes, tak jak się zwie ów wstrętny strażnik. Wtedy roześmiał się i przyjął nasz skromny datek. Rozmawialiśmy z nim dosyć długo. Przed odejściem zapytał nas:

— Czyście opowiadali w domu o waszych zamiarach?

— Nie, dopiero po powrocie z wycieczki.

— A więc trzymajcie lepiej język za zębami — rzekł marynarz — nie mówiłbym wam tego, ale czuję się bardzo zobowiązany za tego prosiaka imieniem Stokes. Tylko słowo, że zostanie między nami.

Daliśmy mu słowo.

— Tutaj wieją dziwne wiatry. Właśnie taki wiatr przyniósł wiadomość tym na straży, że będzie tu przywieziona beczka... i że w tej beczce nie będzie sama woda.

Marynarz zamilkł na chwilę, a potem dodał:

— Może to i nie była morska woda.

Zrozumieliśmy, że nasz stary marynarz zajmuje się trochę przemytnictwem i że pomogliśmy mu w tym trochę.

Sprawiło nam to niekłamaną radość. Tatuś nasz ma w tej kwestii odmienne zdanie. Mówił nam, gdyśmy mu opowiadali tę całą historię, że sprzeciwia się prawu. Na pewno tatuś ma rację, a mimo to rad jestem, że byłem prawdziwym przemytnikiem przez jedną noc!

V. ZAIDA, TAJEMNICZA WRÓŻKA ZŁOTEGO WSCHODU

Teraz będzie mowa o tym, jak zostaliśmy cygańską bandą wędrownych śpiewaków. A wszystko to stało się w celu poprawienia bytu nieszczęsnej panny Sandal, dla której żywiliśmy serdeczne współczucie.

Trudno wymyślić jakąś porządną zabawę w mieszkaniu panny Sandal. Znajdują się w nim same konieczne i same użyteczne sprzęty. Przecież nie można przebierać się we własne ubrania albo w ubrania siostr; nic w tym zabawnego.

Pomysł przeistoczenia się w Cyganów zawdzięczamy Ali. Martwiła się niezmiernie, że nie należała do naszej poprzedniej zabawy w przemytników. Trudno, nie nasza wina, że jest dziewczyną.

Nastały slotne dni. Nudziliśmy się bardzo. Pani Bil gotowała nam wyborne obiady — lecz jedzenie ciastek z kremem czekoladowym nie może wypełnić całego dnia. Oglądaliśmy ścianę zamalowaną przez fruwającego lokatora, ale to także musi się sprzykrzyć. Pytaliśmy się nawzajem, co robić, ale nikt nie mógł wynaleźć rozweselającej zabawy.

Drugi dzień już padał deszcz, kręciliśmy się dookoła domku, przysłuchując się monotonnej muzyce padających kropel.

Wreszcie odezwała się Ala:

— Pani Bil ma u siebie w domu książkę pod tytułem „Napoleońska księga przeznaczeń”, może byśmy sobie pożyczyli tę książkę. Idź, poproś ją, Oswaldzie, ona cię najlepiej lubi z nas wszystkich.

Wszyscy wiedzą, że Oswald nie jest zarozumiały co do swojej osoby, ale prawdą jest, że pani Bil ma do niego jakąś słabość.

— Moglibyśmy wyczytać naszą przyszłość — mówiła Ala — byłoby to z większym pożytkiem niż „myślenie o rzeczach wzniosłych”, to jest o niczym.

Oswald pobiegł do pani Bil i rzekł:

— Kochana pani Bilusiu, pani ma książkę, którą byśmy strasznie pragnęli pożyczyć od pani.

Pani Bil była zajęta wydrążaniem kartofli na kolację.

— Pewno chcecie Pismo święte, leży u panny Sandal na biurku — odrzekła pani Bil.

— O nie, my chcemy pani „Napoleońską książkę przeznaczeń”.

— Przyniosę ją wam jutro.

— O nie, kochana Bilusiu, pobiegnę zaraz. Niech mi pani da swoje klucze do mieszkania. Żadnej szkody nie zrobię.

I pani Bil dała mu klucz. Oswald pobiegł po książkę i wrócił z nią do domu.

Cały dzień spędziliśmy na przepowiadaniu przyszłości, bądź z kart — co jest bardzo trudne — bądź z naszych snów. Naturalnie chcieliśmy wszyscy jednocześnie tłumaczyć nasze sny i z tego powodu mieliśmy ciągłe nieporozumienia rodzinne. Noela sny były bardzo długie, niezmiernie pogmatwane i bardzo nudne. On przysięgał, że wszystko to śniło mu się naprawdę. Mam nadzieję, że mówił prawdę.

Poszliśmy wcześniej spać, przekonani, że będziemy mieli nadzwyczajne sny. Ale na złość nic się nam nie śniło.

Dzień był deszczowy i Ala powiedziała:

— Moi kochani, mam cudowną myśl. Zdaje mi się, że się zaraz wypogodzi. Przebierzmy się za Cyganów i chodźmy do odległych wsi, ażeby ludziom przepowiadać przyszłość. Jeżeli mi pożyczycie książkę na cały dzień, to nauczę się z niej dosyć, ażeby wróżyć ciekawie i tajemniczo. Za wróżby zbiera się srebro — a czasem złoto nawet!

— Ona tak mówi, bo chce sama czytać książkę — rzekł Dick.

Oswald przeciął spory.

— Niech spróbuje. Niech weźmie książkę na godzinę, a my ją potem przeegzaminujemy, czy i jak wiele się nauczyła.

Więc Ala wzięła się do czytania książki, zatykając uszy palcami, a myśmy mówili o tym, jak powinni być ubrani prawdziwi Cyganie.

Pobiegliśmy do naszych pokojów, ażeby zrobić przegląd garderoby, i oczywiście nie było już mowy o żadnym egzaminie.

Zajrzeliśmy do szaf i szuflad panny Sandal, ale wszystko było w kolorach brunatnych i szarych, a przecież wiemy, że „dzieci południowego słońca” (podobno tak się mówi o Cyganach) lubią i noszą barwy jaskrawe.

Postanowiliśmy przeszukać górkę; myśleliśmy, że może tam znajdziemy jakieś weselsze stroje. Dora nie wierzyła, ażeby nasze poszukiwania mogły się udać, i powiedziała:

— Jeżeli się nic nie znajdzie na górcie, to będziemy uważać to za rękę losu i nie przeberzemy się za Cyganów. Poza tym jestem przekonana, że za wróżenie można się dostać do więzienia.

— Nie jako Cyganie — rzekł Noel — Cyganie mają pozwolenie na wróżenie i sąd nie może im nic zrobić.

Poszliśmy więc na górkę. Pusta była, lecz czysto utrzymana jak wszystko u panny Sandal. Znajdowało się tam zaledwie kilka pudełek. W pierwszym pudle były tylko listy. Zamknęliśmy je natychmiast. Odsłoniliśmy wieko następnego pudła z głośnym okrzykiem zachwytu, gdyż na samym wierzchu znajdowała się wspaniała purpurowa materia cała złotem zahaftowana. Wyglądało to na jakieś chińskie kimono. Wyjęliśmy je i rozłożyliśmy na podłodze. Wtedy oczom naszym ukazały się nieprzebrane skarby: w pudle znajdowały się suknie, spódnice, bluzy, kaftany, a wszystko w żywych barwach tęczy, zdobne w hafty, srebro i złoto. Być może skarby te zostały pannie Sandal z lepszych dni.

— Chyba nie będzie na całym świecie wspanialszych Cyganów od nas! — zawołał wesoło Oswald.

— Czy sądzisz, że możemy włożyć te kostiumy bez pytania? — rzekła Dora.

— Nie, nie możemy — odparł Oswald ironicznym tonem — powinniśmy napisać do panny Sandal, że „dowiedzieliśmy się, że pani jest bardzo biedna, przeto prosimy panią, ażeby pożyczyła nam swoje rzeczy, w które się przeberzemy za Cyganów, ażeby przyjść pani z pomocą materialną”. Owszem, możesz, Doro, napisać taki list.

— Przecież ja tylko pytałam — rzekła Dora.

Zaczęliśmy przymierzać ubrania. Były tam i suknie balowe; nie miały dla nas żadnego zastosowania. Oswald ubrał się w biały, srebrem przetykany kaftan, który przewiązał czerwoną szarfą. Z zielonej szarfy zrobił sobie turban spięty jakąś błyszczącą broszą; wyglądał jak torreador. Dick nosił szkarłatny strój zahaftowany złotem, Dora skróciła go i przerobiła odpowiednio. Ala miała suknię niebieską, obszytą piórami, a na niej złoty kaftan i żółtą jedwabną chustkę na głowie.

Dory suknia była zielona, a chustka różowa.

Noel uparł się, ażeby jeden rękaw był żółty, a drugi niebieski. Zrobił sobie spiczasty kapelusz zakończony wspaniałą kitą ze strusich piór i powiedział, że jest śpiewakiem.

H. O. nosił srebrną bluzę haftowaną w motylki przepasaną złotą wstęgą, nabijaną brylantami.

Ubrania te złożyliśmy starannie, zrobiliśmy z nich paczki i zabraliśmy z sobą. Nie chcieliśmy paradować w nich przez wieś, ażeby nie zwracać zbytnej uwagi. Kupcowa, u której kupiliśmy szpilki i agrałki do naszych strojów, posiada wózek z osłem. Najęliśmy od niej za dwa szylingi wózek i osła.

Następnego dnia pogoda była cudna, niebo pogodne, a słońce świeciło radośnie. Powiedzieliśmy naszej Bilusi, że jedziemy do pobliskiego lasu, więc zapakowała nam koszy z jedzeniem.

Podjechał wózek z osłem, ale nie mogliśmy się wszyscy pomieścić. Ciągnęliśmy losy, kto pierwszy pojedzie. W życiu naszym nie widzieliśmy nic powolniejszego od tego osła. Oswald co chwila brał osła za łeb i ciągnął go. Osioł był mały, ale uparty. Ala waliła go batem. Nic nie pomagało. Nagle drogą przejechał samochód, a osioł nasz ni stąd, ni zowąd zaczął biec z całych sił, tak iż Oswald i H. O. z ledwością mogli go dogonić.

Daleko za wsią znaleźliśmy las, w którym zdecydowaliśmy się przebrać. Prócz kostiumów mieliśmy także butelkę z orzechową farbą, która cerze naszej nadała ciepły ciemny kolor.

Już byliśmy przebrani w nasze wspaniałe szaty, a Ala trzymała wciąż jakieś małe zawiniątko.

— Co to jest? — zapytała Dora.

— Wzięłam na wszelki wypadek te oto przybory — rzekła Ala — może nas wróżenie zawiedzie.

I otworzyła węzelek: był tam bębenek, czarna koronka, pudełko od papierosów i grzebienie do włosów.

— A na cóż to wszystko... — zaczął Dick, lecz Oswald zrozumiał w tej chwili i rzekł:

— Brawo, Alu! Żałuję, że sam nie wpadłem na tę myśl.

Ala ucieszyła się, że znalazła uznanie, i to u najstarszego brata.

— A może by w ogóle zacząć od tego. Ściągnie to na nas uwagę publiczności, potem będziemy wróżyć. Zaczniemy od koncertu na grzebieniach. Ażeby się nikt nie domyślił, że nie posiadamy żadnych wschodnich instrumentów, twarze podczas gry zaslonimy czarną koronką. Wiecie, możemy zrobić próbę.

Próba wypadła znakomicie. Aczkolwiek było nam gorąco pod welonami, ale wyglądaliśmy jeszcze bardziej tajemniczo i nikt by nie poznał, że gramy na grzebieniach, a nie na oryginalnych wschodnich bałajkach.

Rozpaliliśmy ogień i zjedliśmy śniadanie. Doprawdy w pięknych kostiumach panny Sandal wyglądaliśmy arcyromantycznie. Wreszcie zdecydowaliśmy się wyjść na szosę i udać do najbliższej wioski.

Na szosie spotkaliśmy dosyć dużo ludzi. Niektórzy szli pieszo, inni jechali bryczkami. Wyminęło nas także kilka powozów.

Wszyscy nam się przyglądali, ale nie z takim zdziwieniem, jakieśmy to sobie wyobrażali.

Zwróciliśmy się z zapytaniem do odświeżnie ubranego jegomościa, dokąd to wszyscy idą w jednym kierunku.

— Tam, gdzie i wy — rzekł jegomość i objaśnił nas, że na ziemiach Sir Blocksona²⁰ odbędzie się ludowa zabawa. Postanowiliśmy udać się na tę zabawę i tam zebrać mająteczek dla panny Sandal.

Przed bramą wielkiego parku Sir Blocksona było straszne zbiegowisko. Kazano nam osła odprowadzić do stajni. Piękna to była chwila, gdy stajenny wziął od nas lejce i osła wprowadził do stajni.

— Bardzo nas godnie przyjmują — rzekła Ala.

— Obcy książęta są tu gościnnie podejmowani — dodał Noel.

— Nie jesteście książętami, lecz Cyganami — przypomniała Dora.

— Mogą być książęta-Cyganie.

Już rodzeństwo zaczynało się sprzeczać, gdy podbiegł do nas szczupły mężczyzna z kwiatkiem w butonierce.

— A co to za przedstawienia?

— Nasze.

— Czy jesteście oczekiwani?

— Nie, ale to nic nie szkodzi.

— Coście za jedni? Akrobaci, linskoczeki, śpiewacy, tancerze?

— Nie — rzekła Ala z godnością — jestem Zaida, tajemnicza wróżka Złotego Wschodu, reszta też jest tajemnicza, ale nie wymyśliliśmy dotąd imion.

— Powiedźcie, kim jesteście naprawdę? — zapytał pan.

— Tajemnica — odparł Oswald „tym” głębokim głosem.

— Tak, to jest tajemnica, ale zdaje mi się, że możemy ją panu powierzyć. Jesteśmy Bastablowie i przyjechaliśmy na kilka tygodni do Lymchurch. Chcielibyśmy zebrać trochę pieniędzy dla pewnej zubożałej osoby. Nauczyliśmy się też przepowiadać przyszłość. Jak się panu zdaje, czy pozwolą nam wróżyć na zabawie? Ludzie są często głupi na zabawach, prawda?

— Prawda! — zawołał pan.

— Mamy też instrumenty muzyczne — wtrącił Noel — możemy coś panu zagrać.

— Nie tutaj — rzekł pan — chodźcie ze mną.

I zaprowadził nas w bok, do ślicznej altany. Poprosiliśmy go, ażeby odwrócił się na chwilę, założyliśmy koronki na twarze i zaczął się koncert. Nie dał nam skończyć.

— Co za zgrzyt! Na miłość Boską, przestańcie! Teraz wróćcie mi z ręki.

Ala zdjęła koronkę z twarzy, wzięła go za rękę i mówiła:

²⁰Sir Blockson — w oryginale ang.: Sir Willoughby Blockson; w wydaniu źródłowym: Bloeckson.

— Pojedzie pan w odległą podróż. Spotka pana wielkie szczęście i dużo zaszczytów, poślubi pan piękną damę, która jest panu wzajemna. Przy damie są wielkie pieniądze. Dokoła pana same intrygi i zasadzki, ale niech się pan niczego nie lęka. Zwycięży pan wrogów. Proszę się wystrzegać kobiety, brunetki, która knuje intrygi przeciwko panu.

— Będę się wystrzegał. Czy to wszystko?

— Nie. Niech się pan wystrzega tej brunetki i towarzystwa pijaków. Niech pan będzie ostrożny w wyborze znajomości, bo może pan spotkać fałszywego przyjaciela, który będzie zgubą całej rodziny. Ożeni się pan bardzo prędko i dożyje pan późnej starości wraz z ukochaną żoną. Będzie pan ojcem dwunastu synów i...

— Dosyć! Dosyć! Dwunastu chłopców wystarczy na te ciężkie czasy. A teraz posłuchajcie. Wróżby były znakomite, tylko że trzeba mówić powoli i patrzeć na rękę. Ale muszę was zmartwić. Wszystko odbywa się darmo na dzisiejszej zabawie, nie zarobicie żadnych pieniędzy.

Smutno się nam zrobiło na sercu.

— Poza tym jest tu już jedna pani, która wróży przyszłość.

— Wobec tego możemy już iść do domu — orzekł Dick.

— Wcale nie — powiedział nasz nowy przyjaciel. — Pani nie chce wróżyć, ma ból głowy. Jeżeli więc podejmiecie się ją wyręczyć, to otrzymacie za to dwa funty. Zgoda?

Zgodziliśmy się bardzo chętnie.

— Mam z sobą buteleczkę wody kolońskiej — rzekła Dora. — Mój brat Noel cierpi czasami na bóle głowy, ale dzisiaj czuje się znakomicie. Może pan da tej pani...

— Dziękuję — rzekł z uśmiechem — zajmę się głową tej pani.

I kazał nam chwilę zaczekać, ażeby poczynić odpowiednie kroki. Rzuciliśmy się więc na *Księgę przeznaczeń*, ażeby przypomnieć sobie niektóre szczegóły wróżb. Gdy ten pan wrócił, rzekł do Ali:

— Tylko panienki mogą się zająć wrózeniem, gdyż na namiocie jest szyld z napisem: „Esmeralda, cygańska księżniczka przepowiada przyszłość i czyta w księgach Jutra”. Chłopcy muszą stać przed namiotem i zwoływać publiczność. Róbcie to głośno. Tak jest, głośno, bardzo głośno. Zaklinam was, nie macie wyobrażenia, jakie to ważne dla zdrowia tej pani!

— Mnie się zdaje, że na ból głowy zaleca się spokój — rzekła Dora.

— Pani ma rację! — zawołał pan z kwiatkiem w butonierce. — Pani ma rację!

Zaprowadził nas do namiotu z szyldem „Esmeralda itd.”. Przed namiotem stała pani w kapeluszu i długim palcie podróżnym.

— Teraz — rzekł pan do Dicka — niech jeden z was stanie przed wejściem i wpuszcza kolejno osoby, które pragną zedrzyć zasłonę przyszłości, a reszta niech gra na tajemniczych instrumentach. Oto dwa funty. O piątej możecie wrócić do domu!

Pani była bardzo blada, miała głębokie sińce pod oczami i zapuchnięte powieki; chciała coś rzec, lecz zanim zdążyła usta otworzyć, odezwał się pan z kwiatkiem w butonierce:

— Ufaj mi, Elu²¹, kochanie; wszystko ci wytłumaczę. Idź natychmiast do altany, potem przesuniesz się między drzewami. Do widzenia, dzieciaki! Dajcie mi wasz adres, a napiszę wam, czy się sprawdziły przepowiednie.

Pożegnał się z nami i odszedł. Zrobiliśmy to, co nam przykazał, ale po jakimś czasie zabawa zaczęła nas nudzić. Mieliśmy ochotę wrócić do domu, lecz przecież przyrzekliśmy pozostać do piątej. Ala na przemian z Dorą przepowiadały przyszłość — początkowo ludzie odnosili się do nich nieufnie, mówiąc im, że są zbyt młode. Wobec tego nałożyły welony.

Okolo wpół do piątej do namiotu wpadł jakiś starszy pan: Sir Blockson.

— Gdzie moja córka, gdzie panna Blockson? — zawołał.

Powiedzieliśmy mu, że nie znamy jego córki, panny Blockson.

— Od jak dawna jesteście tutaj?

— Od drugiej — rzekła Ala.

Stary pan zaklął i zapytał:

— Kto was tu przyprowadził?

Opisaliśmy pana z kwiatkiem w butonierce.

²¹ *Ella* — w oryginale ang.: Ella.

— Przeklęty Carew! — zaklął starszy pan.

— Czy stało się coś złego? — zapytała Dora. — Jeżeli pan sobie życzy, możemy dłużej zostać i zastąpić panią, która wróżyła, nim przyszedł tutaj.

— Wątpię, czy znajdę tę panią — rzekł wściekłym głosem. — A wy wynoście się stąd, bo was każę zaaresztować!

Uciekaliśmy co sił! Pobiegliśmy po osła i w bardzo prędkim czasie znaleźliśmy się w drodze powrotnej. Mieliśmy dwa funty i dużo tematu do rozmowy.

Lecz żadne z nas — nawet Oswald — nie mogło zrozumieć, w jaką historię byliśmy wmieszani. Wyjaśnił nam to dopiero list ze znaczkiem zagranicznym. Prócz listu dostaliśmy wielkie pudło atlasowe, a wewnątrz trzy flaszki perfum i trzy flaszki wody kolońskiej. Paczka była dla Dory.

List był następującej treści:

Moi Kochani Cyganie!

Zwracam wodą kolońską i serdecznie dziękuję za pożyczenie. Pani na ból głowy dałem wyborne lekarstwo, wywozłem ją za granicę dla zmiany klimatu. Zabrałem ją do miasta pociągiem o czwartej minut piętnaście, a teraz jesteśmy już po ślubie i mamy zamiar żyć do późnej starości itd., jak mi to wywróżyła Zaida, tajemnicza wróżka Złotego Wschodu. Stało się także coś, czego nie przewidziała wróżka, a mianowicie, że będę musiał zenić się wbrew woli Sir Blocksona, który uważał, że jestem zbyt biedny. Widzieliście jednak, że nie należę do najuboższych. Teraz wszystko jest w porządku. Żona moja i ja dziękujemy za pomoc i przepraszamy, jeżeliśmy was przetrzymali. Ale uczyniliśmy to, aby nas nie przyłapano na stacji.

Uściski i pozdrowienia szczerze oddany

C. Carew²²

Gdyby był Oswald wiedział, toby nigdy nie wziął dwóch funtów i nie zgodził się na podobną rzecz!

Oswald nie uznaje małżeństwa i nigdy by nie przyłożył ręki do czegoś podobnego!

VI. SPÓŁKA HANDLOWA

Kochane dzieciaki!

Zamężna siostra panny Sandal wróciła właśnie z Australii i czuje się bardzo zmęczona. Nic w tym dziwnego, prawda, podróż trwała bardzo długo. Udaje się do Lymchurch na wypoczynek. Proszę was bardzo, moi najmilsi, ażebyście się zachowywali jak najspokojniej. Starajcie się być dużo na świeżym powietrzu, a w mieszkaniu nie hałasujcie; specjalnie zwracam uwagę na buty H. O. Pani Bax podróżowała bardzo dużo i omal nie była porwana przez tygrysa. Mam nadzieję, że nie będziecie nudzić jej pytaniami. Przyjeżdża w piątek. Z radością dowiedziałem się z listu Ali, żeście się dobrze bawili na balu u Sir Blocksona. Proszę zwrócić uwagę Noelowi, że nie mówi się „poetykalnie”, ale poetycznie. Posyłam wam dziesięć szylingów na drobne wydatki i jeszcze raz błagam o uszanowanie spokoju pani Bax.

Wasz kochający

Ojciec

P. S. Napiszcie mi, jeżeli macie jakieś specjalne życzenia, to poproszę panią Bax, by zabrała. Ukłony od Pani z Czerwonego Dworu, z którą byłem razem na proszonym obiedzie.

Po odczytaniu listu zapadło przykre milczenie.

— Fatalne — pierwszy przerwał milczenie Dick — ale mogłoby być jeszcze gorzej.

— Nie wiem, jak mogłoby być jeszcze gorzej — westchnął H. O. — Co mam zrobić z moimi butami, one muszą skrzypieć.

— A ja ci mówię, że mogłoby być znacznie gorzej — powtórzył Dick — przypuśćmy, że zamiast unikać pani Bax, musieliśmy odwrotnie.

²²C. Carew — w oryginale ang.: Carisbrook Carew.

— Co znaczy odwrotnie? — zapytał H. O.
— Ano odwrotnie — podchwyciła Ala — korzystać bezustannie z jej towarzystwa, bawić ją, chodzić z nią wszędzie, nie byłoby to stokroć gorzej?
— W każdym razie trzeba ją przyjąć gościnnie; mieszkamy bądź co bądź u jej siostry i goście panny Sandal są naszymi gośćmi. Kto pójdzie po nią na stację?
Nikt nie miał odwagi i w końcu Oswald wziął na siebie ten ciężki obowiązek.
Pani Bil uporządkowała najładniejszy pokój.
— Trzeba by jakoś upiększyć jej pokój — rzekła Ala — przyjeżdża przecież z ojczyzny papug i palm kokosowych.

Chcieliśmy początkowo sprowadzić wypchanego jastrzębia, który się znajduje „Pod Okrętem”, ale przypomnieliśmy sobie, że gość nasz przyjeżdża na wypoczynek, musi mieć absolutny spokój i że widok drapieżnego ptaka mógłby ją zdenerwować; pożycziliśmy więc od pani Bil słój i wpuściliśmy doń szarą rybkę. Słój postawiliśmy na komodzie. Dziewczęta zerwały piękne kwiaty, a na stole przygotowaliśmy piękną lekturę, to jest książki spokojne: „Sonety o śnie”, „Na cichych wodach”, „Pamiętniki marzyciela”. Książki oprawiliśmy w szary, spokojny papier. Zawiesiliśmy szare firanki i położyliśmy na stół szarą serwetę. Postawiliśmy zegar, ale nie nakręcony, aby nie mącił jej spokoju.

Oswald pojechał po nią na stację. Usiadł na kozle przy woźnicy i z bijącym sercem zastanawiał się, jak się zachowywać, by nie zakłócać spokoju pani Bax. Przybyliśmy na stację w ostatniej chwili. Tylko jedna pani wysiadła z pociągu i Oswald domyślił się, że jest to pani Bax. Miała krótkie włosy i złote binokle. Nosiła króciutką suknię, a w ręce trzymała klatkę z papugą. Była to nasza papuga. Pisaliśmy wprawdzie do ojca, że do szczęścia brakuje nam naszej papugi i naszego psa, ale nie przypuszczaliśmy, że pani Bax przywiezie nam jedno z nich.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Bax? — zapytał Oswald.

— Jak się masz, chłopcze? — zapytała dość żywym głosem. — Czy to Oswald, czy Dick?

Oswald odparł jednym słowem. W tej chwili wyskoczył zza pani Bax nasz ukochany piesek i Oswald pochwycił go w ramiona. Klatkę z papugą przymocował z tyłu powozu. Psu zaleciłem ciszę i wskoczyłem na kozioł.

— Czemu nie siądziesz ze mną? — zapytała pani Bax. — Jest miejsce obok mnie.

— Nie, dziękuję — rzekł Oswald spokojnym głosem.

Droga była bardzo spokojna. Zajechaliśmy przed nasz domek. W drzwiach czekały dzieci, świeżo umyte i uczesane. Przywitały się szeptem z panią Bax. Jak żyję, nie widziałem spokojniejszej rodziny.

Pani Bax udała się do swojego pokoju. Spotkaliśmy się z nią dopiero przy podwieczorku. I znowu gromadka uczesanych, umytych dzieci siedziała przy stole, zachowując się bez zarzutu. Zostawiliśmy pani Bax miejsce przy stole, które dawniej zajmowała panna Sandal, a potem Dora. Ale pani Bax nie chciała tam siedzieć i zwróciła się do Dory:

— Może się przesiądziesz ze mną?

A Dora rzekła półgłosem:

— Jeżeli sobie pani życzy, przesiądę się.

Podawaliśmy pani Bax wszystkie potrawy. Wszystko odbywało się w najgłębszym milczeniu.

— Jak się bawicie w Lymchurch?

— Dziękuję, dobrze — odpowiedziały przyciszone głosy.

— A co robicie?

Nie chcieliśmy niepokoić pani Bax opowiadaniem o tym, co robimy, więc Dick szepnął:

— Nic szczególnego.

W tej samej chwili szepnęła Ala:

— Rozmaite rzeczy.

— Opowiedzcie mi, proszę was bardzo.

Milczenie, grobowe milczenie.

— Jesteście zawsze nieśmiali? — zapytała. — Bo mnie obcy ludzie szalenie onieśmielają.

Podobały nam się bardzo jej słowa i Ala powiedziała:

— Mam nadzieję, że nie będziemy pani onieśmielać.

— I ja tak sądzę. Wyobraźcie sobie, że w pociągu jechała razem ze mną jakaś pani, która wiozła z sobą siedemnaście paczek. Przez całą drogę liczyła te paczki, a jedną z tych paczek był kot, który co chwilę chował się pod ławkę i ciągle mylił swą panią w liczeniu.

Mieliśmy ochotę usłyszeć coś jeszcze na ten temat, pragnęliśmy dowiedzieć się, jak się nazywał ten kot, ale milczeliśmy zawzięcie i tylko Oswald zapytał półgłosem:

— Może pani pozwoli kawałek ciasta?

Pani Bax postępowała bardzo mile z nami. Starła się zagaic rozmowę na wszelkie tematy. Mówiła o Australii, o polowaniach, lasach, a my — ażeby uszanować jej spokój — milczeliśmy, chociaż sprawiało to nam wielką przykrość.

Po podwieczorku wysunęliśmy się cichutko.

Daremnie starała się pani Bax nawiązać z nami rozmowę przez cały następny dzień. Unikaliśmy jej towarzystwa, a podczas wspólnych posiłków zachowywaliśmy się jak duchy, podsuwając jej tylko pieprz, sól, musztardę, pieczywo, masło, ocet i oliwę.

Czuwaliśmy kolejno przed domkiem, odganiając kataryniarzy. Mówiliśmy im, że nie wolno grać przed domem, gdyż gości u nas pewna osoba z Australii, której zalecono spokój. Odchodzili natychmiast. Kosztowało nas to sporo, gdyż każdemu kataryniarzowi trzeba było dawać po kilka pensów.

Wcześniej poszliśmy spać tego dnia, gdyż byliśmy znużeni naszym cichym zachowaniem. Nic tak nie męczy jak spokój, niemniej byliśmy radzi z dobrze spełnionego obowiązku.

Nazajutrz Jake Lee nadwerżył sobie nogę. Jake jest wędrownym handlarzem. Posiada własny wózek z koniem, na wozie prawdziwy sklep z szpilkami, igłami, niciami, guzikami, grzebieniami, lusterkami i tysiącem innych rzeczy, które kupują wieśniaczki i wieśniacy. Jake jeździ z tym ze wsi do wsi i pędzi cudowne życie. Ale tego dnia wyminął go na szosie samochód, koń się zląkł, szarpnął Jake'a i nawet wzywano doktora do handlarza. Poszliśmy do pani Lee, chcieliśmy, by nam pozwoliła zastąpić chorego męża i dała wózek z rzeczami na sprzedaż. Ale nie chciała się zgodzić.

Wtedy Dick rzekł:

— Dłaczegóż nie mielibyśmy zająć się handlem? Możemy przecież wynająć osiołka i wózek?

Pomysł był olśniewający.

— Czy przeberzemy się? — zapytał H. O.

Przebieranie się należy do dobrych zabaw, ale nie słyszeliśmy nigdy, ażeby handlarze chodzili w przebraniu.

— Przeciwnie, musimy wyglądać bardzo biednie — powiedziała Ala — zresztą większość naszych ubrań jest skromna i robi wrażenie nader ubogich. A co będziemy sprzedawać?

— Rzeczy użyteczne — rzekła Dora — igły, nici, obrusy, serwetki.

— Masło też — zawołał Noel — to straszne, gdy nie ma masła!

— Miód jest smaczny — dodał H. O. — a serdelki też są niezbędne.

— Jake sprzedawał spódnice i spodnie — przypomniała Ala.

— Młoty, gwoździe, obcęgi, haki — rzekł Oswald.

— Obrazki, koniecznie obrazki — powiedział Dick. — Jake mówił, że wieśniaczki chętnie kupują obrazki.

Poszliśmy więc do sklepu po zakupy. Igły i nici, obrusy i ścierki, słój miodu i konfitur, szczyryki i ołówki, młotki i gwoździe, guziki i zatrzaski, stalówki i papier — oraz setki innych pożytecznych rzeczy.

Tego wieczoru przy kolacji uprzedziliśmy panią Bax, że nazajutrz nie będzie nas w domu przez cały dzień.

Pani Bax nie zapytała nawet, dokąd idziemy (tego wieczoru nie odezwała się do nas ani słowem).

— Mnie także jutro nie będzie w domu.

— Mamy nadzieję, że się pani nie zmęczy — rzekła Dora bardzo cichym i bardzo uprzejmym głosem.

— Dziękuję — odparła suchym głosem.

W mieszkaniu czuć było dym; przypuszczaliśmy, że był ktoś z wizytą u pani Bax i zmęczył ją.

Nazajutrz rano ruszyliśmy razem z osłem, wozem i towarem daleko za naszą wieś. Kurz pokrył nasze ubrania i wyglądaliśmy bardzo biednie i dosyć brudno.

Zatrzymaliśmy się w sąsiedniej wsi. Jakaś kobieta chciała kupić guziki do bielizny, ale nie mogła znaleźć odpowiednich, więc wmówiliśmy jej, że zatrzaski zastępują guziki. Kupiła — i poszliśmy dalej.

Przed następną zagrodą doznaliśmy bardzo niegościnnego przyjęcia. Wyrzucono nas po prostu, szczerzo psami i gospodyni nawymyślała nam od „komedianatów”. Odeszliśmy czym prędzej.

— Ale czemu mówiła „komedianci”? — pytał H. O.

— Bo zauważyła od razu, że jesteśmy ludźmi z wyższym wykształceniem — rzekła Ala — to się nie daje ukryć.

— A mnie się zdaje, że byłoby najlepiej pójść drogą szczerości i uczciwości — powiedział Dick. — Gdyby ludzie wiedzieli, że sprzedajemy towary i zajmujemy się handlem, ażeby poprawić byt pewnej ubogiej pani, na pewno odnosiliby się do nas z żywą sympatią.

Podjechaliśmy przed jakiś domek i zastukaliśmy do drzwi. Tym razem otworzył nam mężczyzna. Dora wygłosiła piękną mowę na temat uczciwej pracy. Prosiła go, żeby się przyczynił do wspomnienia biednej osoby i kupił parę użytecznych sprzętów. Mężczyzna wytrzeszczył na nas oczy, ale kupił scyzoryk, słoik miodu i trochę gwoździ.

W porze obiadowej siedliśmy pod laskiem i spożyliśmy trochę prowiantów przeznaczonych na sprzedaż: kawał kielbasy, ogórki, pierniki i konfitury.

— Czuję się odrodzona — rzekła Ala — teraz sprzedamy resztę rzeczy i wrócimy do domu.

Ale odwróciła się szczęśliwa karta...

Zapukaliśmy do drzwi. Wyszła z nich kobieta, obejrzała nieprzebrane skarby i uśmiechnęła się. Widziałem ten uśmiech. Potem odwróciła głowę i zawołała:

— Jimie!

Odpowiedziało jakieś chrapanie.

— Jimie, chodź tu natychmiast.

Po chwili zjawił się Jim. Dla niej był to Jim, gdyż była jego żoną, ale dla nas był to policjant, zaspany, w rozpiętym mundurze.

— Co się stało? — mruknął mąż. — Czy człowiek nie może mieć chwili wypoczynku we własnym domu?

— Mówiłeś mi, żebym cię zawołała, jeżeli będą przychodzić z rzeczami.

Nie rozumiejąc nieszczęścia, które wisiało nad nami, Ala rzekła:

— Sprzedaliśmy już bardzo dużo rzeczy, mamy jeszcze trochę, może państwo zechcą kupić.

Ale policjant, który w trakcie tego zapiął swój mundur, zapytał:

— A gdzie pozwolenie?

— Nie mamy z sobą, ale możemy przynieść jutro — odrzekł Noel.

— Gdzie wasze pozwolenie? — huknął policjant po raz drugi, zwracając się do najstarszego i najwyższego Oswalda.

— Mamy pozwolenie na psa — odrzekł Oswald z godnością.

— Cóż to, kpiny będziecie robić ze mnie? Jazda, pójdziecie ze mną do Sir Jamesa. Kazał mi przyprowadzić pierwszą partię włóczęgów i złodziejasków.

— Ależ my nie jesteśmy...

— Nie poniżaj się, Doro — przerwał Oswald — rozmową z takim człowiekiem. Idziemy do domu.

Policjant czesał się wyszczerbionym grzebieniem, a myśmy szykowali się do odejścia. Daremnie.

Zanim młodszy wdrapał się na wózek, już srogi policjant złapał za lejce i poprowadził osła. Nie mogliśmy zostawić mu osła, zwłaszcza że nie był nasz, i poszliśmy z nim razem.

— Nie płaczcie — upominał Oswald — przygryźcie wargi i nie pokazujcie temu policjantowi, że robicie sobie coś z niego. Sir James zrozumie nas, wytłumaczmy mu wszystko. Nie płaczcie i nie okrywajcie hańbą rodu Bastablów. Alu, przestań, bo nigdy już nie powiem, że powinnaś się była urodzić chłopcem. Nie płacz, H. O., nikt ci nie

Łzy

zrobi nic złego, bo jesteś za mały. Dora, wstydź się: jesteś najstarsza. Noelu, czy poeci płaczą? Maszerujemy odważnie. Raz dwa! Raz, dwa! Niech nikt nie myśli, że się boimy.

Może będzie wam trudno uwierzyć, kochani czytelnicy, ale doprawdy szliśmy równym krokiem i Noel rzekł:

— Może byśmy zaśpiewali, przecież na to nie trzeba pozwolenia.

Szliśmy tak dobry kawał drogi. Zatrzymaliśmy się przed eleganckim pałacem Sir Jamesa. W ogrodzie był piękny plac tenisowy, na którym znajdowało się liczne towarzystwo. Policjant zadzwonił do drzwi frontowych. Serca były nam rozpaczliwie. Rzucaliśmy smutne spojrzenia. Nagle Ala wrzasnęła potężnym głosem i rzuciła się przez ogród, trawnik, plac tenisowy i otoczyła ramionami jedną z pań.

— Jestem szczęśliwa, że panią widzę! Niech nas pani uratuje! Nie zrobiliśmy nic złego, doprawdy, nie zrobiliśmy nic złego!

Podeszliśmy bliżej i przekonaliśmy się, że osobą, z którą rozmawia Ala, jest nasza droga Pani z Czerwonego Dworu. Zanim policjant wrócił, opowiedzieliśmy jej całą historię. Reszta pań usunęła się dyskretnie.

— Nie martwcie się, kochane dzieciaki, objaśnię wszystko Sir Jamesowi. Cieszę się, że was widzę. Mój mąż widział się z waszym ojcem przed kilkoma dniami. Chciałam was jutro odwiedzić.

Nie macie wyobrażenia, jakiego uczucia spokoju i bezpieczeństwa doznaliśmy w tej chwili.

Potem podeszedł policjant i rzekł:

— Puśćcie tę panią i chodźcie ze mną. Sir James czeka w gabinecie i zaraz wymierzy wam sprawiedliwość.

Pani z Czerwonego Dworu zerwała się na równe nogi i uśmiechnęła, jak gdyby się nie stało nic złego.

— Dzień dobry, panie inspektorze.

Policjant miał minę zdziwioną, ale też zadowoloną.

— Panie inspektorze, tu zaszła jakaś pomyłka, jestem siostrą cioteczną Sir Jamesa, dzieci te znam doskonale, są moimi przyjaciółmi.

Policjant zdziwił się niepomniernie, ale zaczął coś opowiadać o handlu bez pozwolenia.

Pani z Czerwonego Dworu wytłumaczyła mu, że myśmy się tylko bawili i tak dalej, i tak dalej, poprosiła, by przyjął skromny datek za fatygę. Nie chciał, wzdragał się, ale Pani z Czerwonego Dworu umie przemówić do serca.

— A co powiem Sir Jamesowi?

— Opowie mu pan o innych złoczyńcach.

Odszedł, zdaje się, zupełnie oblaskawiony.

Pani z Czerwonego Dworu zatrzymała nas na obiad.

— Pani jest zaczarowaną królową — zawołał Noel — która panuje nad całym światem i nad policją!

Otoczyliśmy ją kołem. Ona stała pośrodku, a myśmy ją okrążyli, śpiewając:

Wiele jest czaru na tym świecie. Tyś najcudniejsza, królewskie dziecko (utwór okolicznościowy Noela Bastabla).

Lecz oto znajomy głos przerwał nasz śpiew:

— Więc... — A myśmy przestali tańczyć. Podeszły do nas dwie panie, z których jedna była panią Bax i — o zgrozo — z papierosem w ustach. Domyśliliśmy się, czemu było czuć dym w Białym Domku.

— Och! — zawołaliśmy jednocześnie i umilkliśmy.

— Jestże możliwe — rzekła pani Bax — że są to te same przykładne dzieci, z którymi żyłam pod jednym dachem przez trzy dni?

— Bardzo panią przepraszamy — odezwała się Dora półgłosem — gdybyśmy wiedzieli, że pani jest tutaj, nie hałasowalibyśmy na pewno. Proszę nam wybaczyć.

— Wierzę — odrzekła, a potem zwróciła się do Pani z Czerwonego Dworu: — Prawdziwa z ciebie czarodziejka, zmieniłaś tych sześć lał malowanych w żywe dzieci.

— Lał malowanych! — huknął H. O., zanim zdołano go powstrzymać. — Pani jest niewdzięczna! Sześć pensów zapłaciłem kataryniarzowi, ażeby poszedł sobie precz!

— Mózg mi pęka — zawołała pani Bax, ręce podnosząc do skroni.

— H. O. jest niegrzeczny, bardzo mi przykro i przepraszam w jego imieniu — rzekła Ala — lecz ciężko jest znosić takie obelgi, gdy się robiło to, co myśmy robili.

Wtedy na życzenie Pani z Czerwonego Dworu opowiedzieliśmy wszystko, to jest, jak ojciec prosił nas, żebyśmy nie zakłócali spokoju pani Bax, i jak staraliśmy się zastosować do wskazówek ojca. Gdyśmy skończyli, pani Bax zaczęła się śmiać serdecznie. I Pani z Czerwonego Dworu śmiała się też.

— Moi kochani! Nie macie wyobrażenia, jak bardzo się cieszę, że nie jesteście przykładni, grzeczni i nudni! Lubię ruch, wesołość, humor i mam nadzieję, że będziemy się bawić wesoło!

Podano lody. Przekonaliśmy się, że pani Bax jest strasznie miła, i cieszymy się, że gości w naszym domu.

VII. ZAKOŃCZENIE²³

— A co robimy dzisiaj? — zapytała pani Bax. Przez ostatnich kilka dni bawiliśmy się po królewsku, to na łodzi motorowej, to w samochodzie. Nauczyła nas dwunastu nowych gier, z których tylko dwie były nudne.

Dzień był piękny. Byliśmy wszyscy po kąpieli i bawiliśmy się na brzegu. Pani Bax paliła papierosy.

— Co robimy dzisiaj? — powtórzyła pani Bax.

— Nie wiemy — rzekliśmy, a H. O. dodał:

— Co będzie z biedną panną Sandal?

— Dlaczego z biedną? — zapytała pani Bax.

— Ponieważ jest biedna — odpowiedział H. O.

— A skąd przyszło ci do głowy, że moja siostra jest biedna?

— Zapomniałem, że jest siostrą pani. Nie mówiłbym tego, gdybym pamiętał.

— Nic nie szkodzi.

Byliśmy bardzo zawstydzeni i wściekli na brata, że przypomniał pani Bax o nieszczęśliwej siostrze.

— Proszę pani, chętnie zrobimy to, co pani będzie chciała.

— A więc wynajmiemy bryczkę, weźmiemy z sobą jedzenie i pojedziemy do Starego Lasku²⁴. Umówiłam się z waszymi przyjaciółmi z Czerwonego Dworu.

Byliśmy uszczęśliwieni. Pojechaliśmy do lasu, gdzie byli już państwo z Czerwonego Dworu, razem ze swym małym dzieckiem. Dziewczęta niańczyły maleństwo, a myśmy się bawili w ruinach zamku, który stał pośród lasu.

Śniadanie było świetne i zakrapiane winem. Wznosiliśmy więc nadzwyczajne toasty na cześć wszystkich obecnych.

Gdyśmy tak spożywali dary boże, Pani z Czerwonego Dworu dostrzegła gromadkę wiejskich dzieci przyglądających nam się z pewnej odległości. Zawołaliśmy ich do nas i podzieliлись się doskonałym deserem. Następnie bawiliśmy się z nimi w „chowanego”, „kota i myszkę”, „czarnego luda” i wiele innych gier.

— Uwaga — zawołała pani Bax — tutaj jest jeszcze jeden mały chłopczyk! — i pokazując małego chłopca, który stał pod drzewem, dodała: — Sprowadźcie go tutaj.

— Mama nie pozwala nam bawić się z nim — rzekła jedna z dziewczynek w niebieskiej, brudnej sukience.

— A czemuż to?

— Bo jego ojciec jest w więzieniu. Matka jego szuka roboty i też nie może znaleźć.

— Ależ to jest okrutne — rzekła Pani z Czerwonego Dworu — przecież to nie wina dziecka.

— Nie wiem. Ale nam nie wolno bawić się z nim.

— Pomyślcie — powiedziała pani Bax — gdyby wasz ojciec był w więzieniu.

— Mój ojciec nie siedzi w więzieniu — rzekła mała — mój ojciec jest uczciwym człowiekiem.

— Nie żal go wam? Nie żal wam tego chłopca?

²³VII. Zakończenie — w oryginale ang. rozdział trzynasty, nosi tytuł *The Poor and Needy* (*Biedni i potrzebujący*).

²⁴Stary Lasek — w oryginale ang.: Lynwood Castle.

Milczenie było odpowiedzią.

— Idźcie sobie precz! — zawołała Pani z Czerwonego Dworu. — Chłopczyk będzie się bawić z naszymi dziećmi!

Oswald podbiegł do chłopca, by go zaprosić do naszego towarzystwa.

— Dzień dobry! — rzekł Oswald.

— Dzień dobry! — odpowiedział chłopak.

Oswald zauważył jego nędzne, dziurawe buty i mizerną twarzyczkę.

— Właśnie słyszałem, że twój ojciec jest tam, gdzie jest. Bardzo mi przykro i szczerze ci współczuję.

Niebieskie oczy chłopczyka stały się jeszcze bardziej niebieskie, spuścił je i powiedział:

— Nie idzie o mnie, ale biedna mama...

Trudno jest pocieszać ludzi, którzy mają istotne zmartwienia.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś sobie nic nie robił z tych dzieciaków. My się będziemy bawić z tobą. Wiemy, że jesteś niewinny.

— I ojciec też jest niewinny, złamał rękę i nie mógł zapłacić pieniędzy, które był winien, więc go wsadzili do więzienia.

Oswald nie mógł znaleźć żadnej odpowiedzi. Wyjął więc z kieszeni nowy ołówek i scyzoryk i podarował mu.

Po chwili nadeszła Dora. Powiedziała Oswaldowi, ażeby poszedł się bawić z dziećmi, bo ona chce porozmawiać z chłopcem. Oswald odszedł.

A w powrotnej drodze Oswald zauważył, że Dora miała poważną minę i zapłakane oczy.

Nazajutrz rano kopaliśmy nad morzem, wszyscy prócz Dory, która nie chciała się bawić. Ala też odeszła, lecz po chwili wróciła i rzekła:

— Chodźcie, Dora chce wam coś powiedzieć. H. O. jest zbyteczny, bo to nie jest zabawne.

H. O. powiedział:

— Wy chcecie mnie zawsze pominąć. Jeżeli jest jakaś narada, mam do niej równe prawa.

— Mój H. O. — prosiła Ala — dostaniesz pensa na karmelki.

I H. O. odszedł.

Wtedy Dora zaczęła:

— Nie wiem, jak mogłam uczynić coś podobnego. Mielście do mnie takie zaufanie. Powierzylście mi to, mówiąc, że zasługuję na zaufanie. Zdawało mi się, że uczyniłam dobrze — a przecież powinnam była czekać na waszą zgodę.

— Co się stało? — zapytał Dick, ale Oswald domyślił się od razu.

— Powiedz im — rzekła Dora spuszczać oczy.

— Dora dała pieniądze panny Sandal małemu chłopcu, którego ojciec jest w więzieniu.

— Póltorej gwinei — szepnęła Dora.

— Powinnaś była nas wprzódpy zapytać — rzekł Dick.

— Jak miałam to uczynić? Mówił mi o ojcu w więzieniu, biednej mamie, malutkim braciszku, który nie ma co jeść. Zbiorę pieniądze i oddam wam. Tylko wybaczone mi, że postąpiłam tak.

— I miałaś rację! — zawołał H. O., którego nie zauważyliśmy. — Masz jeszcze dla tego głodnego chłopczyka pieniądze, które mi Ala dała na cukierki. Mam takie same prawo powiedzieć moje zdanie jak każdy z was. Co byście zrobili, gdyby wasz mały braciszek umierał z głodu, a nikt by się nad nim nie ulitował? — i H. O. rozbeczał się.

— To nie były jej pieniądze — rzekł Dick.

Lecz Ala i Noel byli także po stronie Dory.

— Dobrze więc — rzekł Oswald gorzkim głosem — ponieważ większość jest po stronie Dory, musimy ustąpić. Ale musimy zbierać, oszczędzać, by wszystko oddać pannie Sandal. Przez lata całe będziemy oszczędzać.

— Och — zaczęła Dora beczeć — nie macie pojęcia, jak mi jest przykro. Ale ci biedni, biedni ludzie.

W tej chwili przyszła pani Bax.

— Czy uderzyłaś się, kochanie? — zapytała Dorę, która jest jej ulubienicą.

Pieniądz, Opieka, Konflikt
wewnętrzny

— Już mi lepiej.

— No to ślicznie — odpowiedziała pani Bax, która podczas odbytych podróży nauczyła się nie zadawać zbyt wielu pytań. — Mamy gościa na obiedzie, przyjechała Pani z Czerwonego Dworu. Była dziś rano u matki tego chłopczyka, z którym nikt nie chciał się bawić — wiecie, prawda? — i znalazła dla niej zajęcie. Dowiedziała się przy tym, że Dora dała jej półtorej gwinei. Musiał to być wasz cały majątek i muszę powiedzieć, że jesteście dzielne dzieciaki.

Zapanowało przykre milczenie.

— A nie mówiłem? — zawołał H. O.

Wtedy Ala rzekła:

— Myśmy nie mieli z tym nic wspólnego. To Dora.

Wtedy Dora wybuchnęła płaczem.

— Ach! To nie były moje pieniądze, nie miałam prawa, ale było mi żal, strasznie żal tego dziecka!

— A czyje to były pieniądze? — zapytała pani Bax.

— To były pieniądze panny Sandal! — huknął H. O., zanim zdążyliśmy go powstrzymać.

I cała prawda wyszła na jaw. Była to długa, długa historia, w trakcie której przyszła Pani z Czerwonego Dworu.

Gdy powiedzieliśmy już wszystko, począwszy od skromnego życia, a skończywszy na handlu, pani Bax powiedziała nam dużo miłych słów, których tu nie powtórzę.

A potem dowiedzieliśmy się, że jej siostra nie była w biedzie i nędzy, a żyła skromnie, bo miała takie upodobanie.

Byliśmy szczerze rozczarowani, a Pani z Czerwonego Dworu rzekła:

— Sir James przesłał biednej kobiecie trochę pieniędzy i męża zwolnił z więzienia, oddał mi gwineę dla Dory (za resztę ugotowała sobie i dzieciom wspaniały obiad). Możecie więc kupić piękny prezent dla panny Sandal.

Kupiliśmy jej bardzo ładną książkę i gdy przyjechała z swoim bratem Eustachym, wręczyliśmy jej.

Oto ostatnia przygoda, którą wam opowiedział autor *Poszukiwaczy skarbu*. Żegnam was, drodzy czytelnicy!

Szczerze życzliwy autor

Oswald

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nesbit-przygody-mlodych-bastablow>

Tekst opracowany na podstawie: Edith Nesbit, *Przygody młodych Bastablów*, tłum. Halina Jel (Halina Gądek), wyd. Nasza Księgarnia, Warszawa 1958.

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury – Kultura – Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Katarzyna Dug, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: -suchitra-@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://stronie.wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](http://szczegóły.na.stronie.Fundacji).